



Holandia • Europa • Świat

# Scena Polska.nl

Kwartalnik nr 2(95)/2018

[www.poolspodium.org](http://www.poolspodium.org)

ISSN 1233-7633

- 
- Film i teatr
  - Uroki lata
  - Las bez tajemnic





**PTSR**  
**O.Wlkp. oraz**  
**Fundacja "hOlendry"**  
**zapraszają na IX spotkanie**  
**osób z SM z cyklu LAS BEZ BARIER**  
**pod hasłem LAS BEZ TAJEMNIC z gościnnym**  
**udziałem przedstawicieli Nadleśnictwa Grodzisk**  
**miejsce: Nowa Róża 2, gm.Nowy Tomyśl - dnia 11.08.2018**

## O Towarzystwie

Polskie Towarzystwo Stwardnienia Rozsianego jest ogólnopolską organizacją samopomocową zrzeszającą chorych na SM, ich rodziny i przyjaciół. Jest otwarte również dla członków wspierających, którzy zechcą je wspomagać w dowolny sposób. PTSR zostało założone w 1990 r, od 2004 jest organizacją pożytku publicznego OPP. Jest członkiem MSIF - Międzynarodowej Federacji Organizacji SM. Misją PTSR jest poprawa jakości życia osób ze stwardnieniem rozsianym

### Zapraszamy:

chorych na SM, ich rodziny, przyjaciół i każdego, kto chce pomóc lub działać w organizacji pożytku publicznego na rzecz osób ze stwardnieniem rozsianym

*Zadzwoń, napisz, przyjdź...*  
*korzystaj ze wsparcia...*  
*lub pomagaj, działaj ...*

Pomagamy chorym na stwardnienie rozsiane

pomoże nam w tym **1%** Twojego podatku

KRS 0000137276



POLSKIE TOWARZYSTWO  
 STWARDNIENIA ROZSIANEGO  
 ODDZIAŁ WIELKOPOLSKA

Plac Kolegiacki 12A / 218  
 61-841 Poznań  
[www.poznan.ptsr.org.pl](http://www.poznan.ptsr.org.pl)  
[poznan@ptsr.org.pl](mailto:poznan@ptsr.org.pl)  
 PTSR Oddz.Wlkp.

### PTSR Oddz. Wielkopolską proponuje:

- informacje o leczeniu i rehabilitacji
- szeroki dostęp do informacji o chorobie
- pomoc Asystenta Osoby Niepełnosprawnej
- rehabilitację domową
- biofeedback / w tym mięśniowy
- rehabilitację grupową
- terapie ruchem / w tym jogę, basen...
- pomoc psychologiczną
- spotkania grup wsparcia
- informacje o ośrodkach i tumusach
- spotkania świąteczne, kulturalne
- imprezy turystyczne, inne...
- spotkania problemowe ...





**ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ**  
Redaktor Naczelna

Przeczytałam w internecie, że tracimy podział na 4 pory roku. Będzie lato i zima.... A co z naszą „Polską Wiosną Filmową” w Holandii? A co z wierszem Wandy Sieradzkiej de Ruig „Cztery pory roku”? Albo słynny utwór Antonio Vivaldi... No i złota polska jesień...

Obserwując w tym roku przyrodę, będąc od maja w jej naturalnym otoczeniu, w lesie, wśród łąk i pól, mogłam doświadczyć tegorocznych zmian klimatu. I rzeczywistość. Wiosna trwała niezwykle krótko, lipy zakwitły w maju, zimna Zośka okazała się całkiem ciepła, a deszcz majowy... coś tam pokropiło, bodajże 17 maja, godzin-

kę. A potem lato, lato, lato... i tak jest cały czas. Susza, brak jagód i grzybów, słabe żniwa. Jedyna pociecha, nie ma komarów, jak na razie.

W tym numerze, Grażyna Gramza (nie wątpił jest to jej numer!) dzieli się wrażeniami z 10. Polskiej Wiosny Filmowej i wspomina spotkanie z Julietą Masimą (wcieliła się w nią na scenie Małgorzata Bogdańska). Dzielimy się też nanowszymi informacjami o programie 43. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, w którym od lat biorę udział w ramach przygotowań do festiwalu polskich filmów w Holandii.

Większość pozostałych tekstów dotyczy przyrody i spotkań, nie tylko ze zwierzęcą. Jak zwykle Jerzy Skoczylas tryska dowcipem i zaraża swoim pozytywnym stosunkiem do życia. Ania Kos-Francois przybliżyła nam kolejną postać z cyklu wielcy Polacy, którzy chociaż mają dokonania w świecie, są przez swą skromność wciąż nieznanymi. Współcześnie, często słyszy się o szybkich sukcesach, ale czy to słowo nie jest nadużywane?

Może warto czasami pomedytować? Do medytacji zaprasza Alek Silber. Na koniec kilka zaproszeń i ogłoszeń.

Zapraszam do lektury!



**SCENA POLSKA** | Kwartalnik, nr 2(95)/2018 | ISSN 1233-7633

**REDAKCJA:** Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.  
**WYDAWCA:** Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 30 2718296, e-mail: poolspodium@gmail.com  
Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.  
[www.poolspodium.org](http://www.poolspodium.org)

**ZDJĘCIA:** Archiwum SPP  
**SKŁAD KOMPUTEROWY:** Mariusz Mamek | Mac Map  
**OKŁADKA:** Fot. Roman Andrejewski

Projekt jest współfinansowany w ramach funduszy polonijnych Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej.



# Polska Wiosna Filmowa 2018 r.

„Filmy robi się po to, żeby rozmawiać z ludźmi, opowiadać im jakąś historię.” Dariusz Gajewski – reżyser.



## GRAŻYNA GRAMZA

Tegoroczna Polska Wiosna Filmowa dobiegła końca. W ciągu trzech tygodni mieliśmy możliwość zobaczenia czterech filmów i monodramu „Nie lubię pana, panie Felinii”. Ten ostatni otworzył tegoroczny festiwal.

Wśród propozycji filmowych znalazły się: „Humani” w reżyserii Katarzyny Trzaski, „Porwać się na życie” Michała Szczeniaka oraz „Dolce Vita” Marka Brodzkiego. Czwartym filmem była produkcja „Wasza wysokość”, którą reżyserowała Agnieszka Smoczyńska.

Wszystkie filmy zostały wyprodukowane przez Wytwórnę Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie pod nazwą „Teatroteka”. Nie są to długometrażowe produkcje, a raczej spektakle telewizyjne z wyraźnym przesłaniem.

„Humani” to utwór z gatunku socjologicznego science fiction. Główna bohaterka, Em, którą gra Anna Ilczuk, po nieudanym związku zamawia humanoida, zaawansowanego technologicznie robota o ludzkim



Katarzyna Figura i Natalia Schrotten podczas spotkania festiwalowego

Fot. ZSCZ

kształcie. Nowoczesne oprogramowanie pozwala stworzyć partnera idealnego. Wszystko się komplikuje, kiedy Szi zaczyna upodabniać się do człowieka i przeżywać cierpienia. Film mówi o skomplikowanej naturze potrzeb kobiety i nie jest pozbawiony refleksji o problemie sztucznej inteligencji. I chociaż w zamierzeniu jest to komedia, to jednak trudno się na niej śmiać. Kiedy zastanowimy się nad własnym życiem, to my też, jak Em, żyjemy w wykreowanym przez technologię świecie. Osobiste kontakty przetrzuciliśmy na media społecznościowe, nie rozstajemy się z telefonem, w sa-

mochodzie „rozmawiamy” z nawigacją... Na razie „Humani” to obraz przyszłości, ale czy dalekiej? Z takim pytaniem wyszłam z tego seansu. Myślę, że nie tylko ja.

Drugi film, który zaprezentowano w tym roku w Schiedam i Tilburgu, to komedia utrzymana w konwencji „czeskiego” humoru zatytułowana „Porwać się na życie”.

Pięćdziesięcioletni Tadek, którego gra sympatyczny Andrzej Mastalerz, od dzieciństwa jest zakochany w Karolinie (Agata Kulesza). Po latach spotyka ją w pracy, do której został skierowany. Bohater, życiowy nieudacznik i pechowiec, postanawia raz w życiu zdobyć się na odwagę i dokonać czegoś niezwykłego. Porywa swoją wielką miłość aby uwolnić ją od prymitywnego męża i rozpocząć z nią nowe życie. Jednak dość szybko uświadamia sobie, czego w istocie dokonał i zaczyna panikować, ale wtedy Karolina dodaje mu otuchy. Film bawi, ale daje nam do myślenia, bo czy nasze życie jest takie, o jakim marzyliśmy? Czy jesteśmy z ludźmi, z którymi chcemy być? I w miejscu, które wybraliśmy? Czy w zalewie obowiązków i konwencji nie zgubiliśmy gdzieś nas samych?

Z kolei w „Dolce Vita” twórcy filmu zadają sobie pytanie: kim mógłby być filmowy Marcello przeniesiony do Polski we współczesne realia? Odpowiedzią jest portret duchowity dzisiejszych trzydziestoparolatków.

Polski Marcello z „Dolce Vita” jest dość zamożny, realizuje się zawodowo i korzysta z życia. Mimo tego czuje się wewnętrznie



Spotkanie z Olgierdem Łukaszewiczem po pokazie filmowym

Fot. Natalia Schrotten





Olgiert Łukaszewicz z wnukiem Adamem w Holandii

Fot. ZSCz

pusty i nieszczęśliwy. Każde jego marzenie o stworzeniu lub przeżyciu czegoś wyjątkowego rozbija się o poczucie własnej pospolicitości i niedojrzałości.

Marcello został przekonująco zagrany przez Dawida Ogródnika, a towarzyszące mu partnerki: Agnieszka Żulewska i Julia Wyszyńska, uwiarygodniły rozterki Marcello. Sztuka – jak piszą autorzy – inspirowana jest „Kartoteką” Tadeusza Różewicza i filmem „Dolce Vita” Felliniego.

Jednak największe wrażenie wywarł na mnie film „Wasza wysokość”, inspirowany m.in. biografią Wandy Rutkiewicz. To właśnie ona jest tytułową „waszą wysokością”, choć to określenie pada w filmie tylko raz, do tego dość złośliwie.

Rutkiewicz jako pierwsza kobieta zdobyła K2. Była trzecią na Mount Evereście. Na pewno na trwale zapisała się w historii polskiego i światowego himalaizmu. Weszła na osiem ośmiotysięczników, dzięki czemu przez wiele lat pozostawała liderką wśród kandydatek do zdobycia „Korony Himalajów”. Jej ostatni plan wspinaczkowy, „Karawana do marzeń”, zakładał zupełnie tego wyniku o sześć brakujących szczytów. Zginęła w czasie próby jego realizacji na Kancenzondze w maju 1992 roku. Jej ciało nie zostało odnalezione.

W filmie himalaistkę, która, ratując się, zostawiła w górach młodego chłopaka, zagrała świetna Dorota Kolak.

W czasie konferencji prasowej bohaterka tłumaczy się, że nie jest winna wypadkowi, że nie mogła nic więcej zrobić, aby uratować partnera.

Dziennikarze zadają coraz bardziej napaśliwe pytania, w których brzmi racjonalna potrzeba zrozumienia tego, co się stało w górach: dlaczego ona wróciła, a on nie? Czy zro-

biła wszystko, aby mu pomóc? „Nie wiem” – brzmi odpowiedź Wandy. „Po co w ogóle tam poszłście?” – „Bo mogliśmy”.

I to jest chyba najbardziej niezrozumiałe dla zwykłych ludzi. Po co tam w ogóle chodzić i narażać siebie i innych na wypadek czy śmierć?

Temat wypadków wysokogórskich jest niezwykle trudny i mocno kontrowersyjny. Za każdym razem, kiedy dochodzi do tragedii, uruchomiona zostaje lawina niekończących się sporów na temat popełnionych błędów oraz etyki uprawiania tego sportu.

W filmie bohaterka, razem z dziewczyną, chłopakiem, przyjacielem i filmowcem wraca w góry żeby odnaleźć ciało.

Wszyscy muszą skonfrontować się nie tylko z surową naturą, ale i z własną, niełatwą, przeszłością.

Twórcy sztuki podejmują próbę uchwycenia istoty fascynacji górami, w których jest piękno i metafizyka, tyle, że nie wszyscy mogą ulec tej fascynacji! Góry, wyprawy na szczyty, chociaż w ostatnim czasie mocno się skomercjalizowały, to nadal pozostają surowe i niedostępne. I niech tak zostanie!

Film jest trudny w odbiorze. Niektóre kwestie są mocno przegadane ale uważam, że mimo tego warto go zobaczyć.

W tym roku Polska Wiosna Filmowa odbywała się po raz dziesiąty. Polska, i nie tylko, publiczność mogła zobaczyć ambitne produkcje, które poprzedzały filmy o tematyce patriotycznej, ponieważ jesienią 2018 roku przypada setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości.

Pani Zofia Schroten- Czerniejewicz ze Sceny Polskiej, główna organizatorka „Wiosny”, zaprosiła do Holandii reżysera, Marka Koterskiego i aktorów: Katarzynę Figurę i Olgierta Łukaszewicza. Widzowie mieli możliwość porozmawiania z nimi w bardzo kameralnych warunkach. Spotkania były bardzo udane i chyba wszyscy zostali usatysfakcjonowani i rozmową, i zdjęciami z popularnymi artystami.

Pani Schroten – Czerniejewicz i wszystkim osobom zaangażowanym w ten projekt należą się serdeczne podziękowania za to, że od lat mają siłę i entuzjazm zarażać nas miłością do polskiej kultury. ■



Jacek Pachocki, Katarzyna Figura i Natalia Schroten w kinie w Schiedam

Fot. ZSCz

# „Trzeba mieć w życiu marzenia”

– spotkanie z aktorką Katarzyną Figurą

W Holandii mamy słoneczną wiosną kalendarzową ale trwa również „Polska Wiosna Filmowa” organizowana od dziesięciu lat przez „Scenę Polską” w Schiedam i Tilburgu. Można tam zobaczyć najnowsze filmy polskich reżyserów. Pokazy uświetniają spotkania z aktorami. Bardzo miłym gościem był również reżyser, pan Marek Koterski.

W miniony weekend gościem specjalnym festiwalu była pani Katarzyna Figura, popularna i lubiana aktorka, która znana jest z ról komediowych w filmach takich jak „Kingsjiz” czy „Kiler”. Pani Figura brała też udział w wielu ambitnych produkcjach, z których na pewno wyróżnia się „Żurek”. Zagrała tam matkę nastoletniej dziewczyny w ciąży. Oczywiście dokonania aktorki są bardzo bogate i nagradzane, bo na scenie gości od wczesnej młodości. Od pięciu lat pani Figura mieszka i pracuje na wybrzeżu, gdzie między innymi prowadzi warsztaty w Gdynińskiej Szkole Filmowej. Dla wielu osób Katarzyna Figura jest symbolem seksu. Jej urodę docenił trzykrotnie magazyn „Playboy”.

Pani Katarzyna uczęszczała do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, którą ukończyła w 1989 r. Edukację kontynuowała w paryskim Conservatoire d'Art Dramatique. Grała role drugoplanowe w produkcjach węgierskich, czechosłowackich, hiszpańskich, włoskich, a nawet w jednym z odcinków erotycznej serii Zalmana Kinga „Pamiętnik Czerwonego Pantofelka”. Zagrała epizody w filmach Roberta Altmana – w nagrodzonym na Festiwalu w Wenecji „Graczu” i „Prêt-à-porter”. Jednak jej aktorstwo mogło ujawnić się w pełni w pracy z najlepszymi polskimi reżyserami. Współpracowała z: Radosławem Piwowarskim, Juliuszem Machulskim, Markiem Koterskim, Andrzejem Kondratiukiem, a wcześniej z Wojciechem Kieślowskim i Wojciechem Janem Hasem. Na liście reżyserów, z którymi pani Figura pracowała nie zabrakło nawet Romana Polańskiego. I nie powinno nas to dziwić, bo na ekranie przeszła metamorfozę od atrakcyjnej blondynki po aktorkę, która potrafi zagrać nawet najbardziej wymagającą rolę.

W sobotę i niedzielę widzowie filmu „Humani” Katarzyny Trzaski, w którym aktorka wzięła udział, mogli porozmawiać o Jej karierze, działalności i życiu prywatnym.

Bardzo kameralne spotkania prowadziła Natalia Schroten, która między innymi



Od lewej: Grażyna Gramza (autorka), Katarzyna Figura, Zofia Schroten-Czerniejewicz oraz Krzysztof Birlet (niedziela.nl)

Fot. SPP

pytała o warsztat aktorski i kulisy realizacji filmów. Zaskoczeniem dla wielu osób był fakt, że film nagrywa się w niechronologicznej kolejności. Aktorka mówiła o konieczności zbudowania postaci długo przed samą realizacją. Jej koncepcję artysta musi mieć w głowie i postarać się żyć nią przez jakiś czas. Pani Figura wspomniała o trudnościach jakie napotyka aktor. Przykładem może być wspomniana rola matki w „Żurku”. Prywatnie pani Katarzyna w trakcie nagrań była świeżo upieczoną mamą, a rola wymagała utożsamienia się z trudną sytuacją kobiety z prowincji. To nie było łatwe. Widzowie pytali, co pani Figura woli- film czy teatr? Tu odpowiedź nie była prosta, bo większość życia zawodowego aktorka poświęciła filmowi, ale teatr pozwala na bezpośredni kontakt z odbiorcą i daje ogromną satysfakcję. Aktualnie w teatrze „Wybrzeże” można zobaczyć m.in.: „Bella Figura” i „Wesołe kumoszki z Windsoru” z udziałem naszego gościa.

Pani Katarzyna Figura wspominała o swoich nowych produkcjach. Niedługo na ekrany wejdzie film w reżyserii Marka Koterskiego „7 uczuć”, w której zagra plejada gwiazd kina polskiego, m.in. Marcin Dorociński, Maja Ostaszewska czy Andrzej Chyra. Aktorka nie zdradziła fabuły, ale przekonywała, że warto go

zobaczyć. Zachęcała również do powtórnego obejrzenia odnowionego „Pociągu do Hollywood”, w którym główna bohaterka marzy o karierze filmowej, takiej jaką zrobiła Marilyn Monroe. Bohaterka filmu pracuje w bufecie kolejowym, lecz pisze listy do amerykańskiego reżysera Billy Wildera i czeka na zaproszenie do Hollywood. Komedia jest pełna groteskowych sytuacji i przesympatycznych postaci. Pani Katarzyna mówiła, że trzeba mieć w życiu marzenia i za nimi podążać. Ona sama jest przykładem, że wszystko jest możliwe. Trzeba tylko chcieć i włożyć w realizację marzeń trochę wysiłku.

Prywatnie Pani Katarzyna jest bardzo miłą i ciepłą osobą, która szybko znajduje wspólny język z widzami. Z wielką miłością opowiada o najbliższych. W czasie spotkania wspominała swoją przyjaciółkę, Małgorzatę Bogdańską, z którą chodziła do szkoły. To pani Małgosia, którą mieliśmy przyjemność widzieć w ramach „Polskiej Wiosny Filmowej” w monodramie „Nie lubię pana, panie Fellini”, namówiła koleżankę do udziału w przedstawieniach teatralnych. I to był fantastyczny pomysł, bo dzięki temu narodziła się gwiazda- Katarzyna Figura!

GRAŻYNA GRAMZA  
TILBURG, 16.04.2018 R.



# „Giulietty wiara w miłość”



## GRAŻYNA GRAMZA

„Czy geniusz ma prawo deptać życie innych? Czy mu więcej wolno?” – na takie pytanie próbował odpowiedzieć Marek Koterski monodramem „Nie lubię pana Panie Fellini”.

Przedstawienie inspirowane jest burzliwym życiem znanej włoskiej aktorki Giulietty Masiny, zdobywczyni dwóch Oscarów, a prywatnie żony Federica Felliniego.

Spektakl rozpoczyna się pierwszym spotkaniem Giulietty i Federica, a kończy śmiercią obojga... i „zmartwychwstaniem” Giulietty. Po drodze – widzimy fragmenty ich wspólnego życia i kolejne plany filmów, takich jak „La strada”, „Noce Cabirii” oraz „Ginger i Fred”.

Giulietta Masina zaczynała od występów w amatorskich teatrach studenckich podczas studiów filozoficznych na Uniwersytecie Rzymskim. W 1942 otrzymała rolę w komediiowej radionoweli autorstwa Federico Felliniego i wkrótce została jego żoną. Mimo wcześniejszych występów w filmie, jej prawdziwym debiutem była drugoplanowa rola „Bez litości”. Masina wystąpiła u wielu innych reżyserów, ale jej sukcesy wiążą się z twórczością męża. To w jego filmach stworzyła niezapomniane i nagrodzone kreacje: Gelsominy („La Strada”), Marii Ceccarelli („Noce Cabirii”) czy Giulietty Boldrini („Giulietta od duchów”).

Tego ostatniego filmu aktorka nie lubiła, chociaż stał się obiektem kultu wśród kontestującej młodzieży amerykańskiej lat 60-tych. Główna bohaterka grana przez Giulietę Masinę przypadkowo odkrywa, że mąż ją zdradza. Kobieta, która całe swoje życie poświęciła ukochanemu mężczyźnie, przeżywa prawdziwy wstrząs. Pod jego wpływem zaczyna mieć dziwne wizje. Być może dla Masiny treść tego filmu była zbyt bolesna, bo Fellini często miał kochanki, a po jego śmierci ukazały się pamiątki opisujące ponad trzydziestoletni, pozamałżeński romans reżysera.

Sam Fellini w wielu filmach powraca do motywu nieudanego małżeństwa i niezdolności mężczyzny do monogamii.

Jednak to drobna żona o spojrzeniu zdziwionego klauna była idealną połówką Frederica – tak mówią wszystkie źródła. Bez Giulietty nie byłoby „tego” Felliniego. Była zarazem jego inspiracją i jego kreacją. Sekret ich wzajemnego przenikania się nie polegał na małżeńskiej harmonii. Społem tego związku była sztuka. W postaciach kreowanych przez Giulietę spotykali się oboje – ona i on. Tyle, że sztuka to jedno, a prawdziwe cierpienie Giulietty trwało latami.

W monodramie „Nie lubię pana Panie Fellini” było ono niemal namacalne. Małgorzata Bogdańska bardzo przekonująco wcieliła się w rolę Masiny. Początkowa euforia pierwszych lat związku została przytłumiona śmiercią ich synka. Z czasem w życiu Felliniego zaczęły pojawiać się inne kobiety. Giulietta szalała, ale nie potrafiła zrezygnować ze związku z mężem. Jako kobieta, Masina była przeciwieństwem erotycznych fantazmatów Felliniego. Raczej przypomina chaplinowskiego włóczęgę, istotą samotną, zdradzaną, ale która nie traci nadziei. Na ile Giulietta jest Gelsominą, towarzyszką nieokrzesanego kuglarza Zampana z „La strady”, pozostanie pewnie tajemnicą. Jednak trudno nie współczuć zakochanej w Fellinim Masinie. Sama mówiła, że najważniejszą rolą jej



Małgorzata Bogdańska i Marek Koterski w Holandii Fot. ZSCZ



życia, jest rola żony Federica. Trudna, pełna poświęcenia i na pewno niedoceniona. Masina umarła kilka miesięcy po śmierci męża. Wszyscy uważają, że „na Felliniego”, ponieważ życie bez ukochanego nie miało dla niej sensu.

Marek Koterski wyreżyserował świetne widowisko, które mogliśmy oglądać w Schiedam i Tilburgu w ramach „Polskiej Wiosny Filmowej”.

W „Nie lubię pana Panie Fellini” nie ma właściwie scenografii, Bogdańska gra na pustej scenie, towarzyszy jej jedynie pękata walizka pełna rekwizytów, które umożliwiają przeobrażanie się aktorki z młodej dziewczyny w doświadczoną życiem kobietę. Brak dekoracji absolutnie nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie, pozwala skupić się na opowieści i ekspresyjnej grze Bogdańskiej.

Dzięki zaproszeniu do Holandii przez panią Zofię Schrotten- Czerniejewicz ze „Sceny Polskiej”, Małgorzaty Bogdańskiej i Marka Koterskiego mieliśmy możliwość obcowania z prawdziwą sztuką, a emocjonalne zaangażowanie twórców w odkrywaniu sekretów sławnej pary budzi ogromny podziw.

Po spektaklu był czas na rozmowę i zadawanie pytań. Marek Koterski z całą mocą podkreślił, że geniusza nic nie usprawiedliwia jeśli krzywdzi innych. I chciał to pokazać w „Nie lubię pana Panie Fellini”. Myślę, że się udało! Optymizmem napełniają też słowa na końcu sztuki, o tym, że sławny klaun z depresją wierzy w miłość! A jak wierzy w miłość, to nie może być taki chory!

# 43. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych

17-22 września 2018 roku.

43.  FPFF

www.festiwalgdynia.pl  
@FPFFGDYNIA #43FPFF

Festiwal Polskich Filmów Fabularnych odbywa się co roku w Gdyni (w latach 1974-1986 odbywał się w Gdańsku). Podczas festiwalu prezentowane są polskie filmy fabularne, powstałe w ciągu roku od poprzedniego festiwalu, a główną nagrodą są „Złote Lwy”.

## Przypomnijmy dotychczasowych zwycięzców:

1974: Jerzy Hoffman – Potop, 1975: Andrzej Wajda – Ziemia obiecana oraz Jerzy Antczak – Noce i dnie, 1976: nie przyznano, 1977: Krzysztof Zanussi – Barwy ochronne, 1978: Stanisław Różewicz – Pasja oraz Andrzej Wajda – Bez znieczulenia, 1979: Krzysztof Kieślowski – Amator, 1980: Kazimierz Kutz – Paciorki jednego różańca, 1981: Agnieszka Holland – Gorączka, 1984: Jerzy Kawalerowicz – Austeria, 1985: Stanisław Różewicz – Kobieta w kapeluszu, 1986: Witold Leszczyński – Siekierażda, 1987: Janusz Zaorski – Matka Królów, 1988: Krzysztof Kieślowski – Krótki film o miłości oraz Krótki film o zabijaniu, 1989: nie powołano jury, nie przyznano nagród, 1990: Wojciech Marczewski – Ucieczka z kina „Wolność”, 1991: nie przyznano, 1992: Robert Gliński – Wszystko, co najważniejsze, 1993: Radosław Piwowarski – Kolejność uczuć, Grzegorz Królikiewicz – Przypadek Pekosińskiego, 1994: Kazimierz Kutz – Zawrócony, 1995: Juliusz Machulski – Girl Guide, 1996: nie przyznano, 1997: Jerzy Stuhr – Historie miłosne, 1998: Jan Jakub Kolski – Historia kina w Popielawach, 1999: Krzysztof Krauze – Dług, 2000: Krzysztof Zanussi – Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową, 2001: Robert Gliński – Cześć Tereska, 2002: Marek Koterski – Dzień świra, 2003: Dariusz Gajewski – Warszawa, 2004: Magdalena Piekorz – Pęgi, 2005: Feliks Falk – Komornik, 2006: Joanna Kos-Krauze i Krzysztof Krauze – Plac Zbawiciela, 2007: Andrzej Jakimowski – Sztuczki, 2008: Waldemar Krzystek – Mała Moskwa, 2009: Borys Lankosz – Rewers, 2010: Jan Kidawa-Błoński – Różyczka, 2011: Jerzy Skolimowski – Essential Killing, 2012: Agnieszka Holland – W ciemności, 2013: Paweł Pawlikowski – Ida, 2014: Łukasz Palkowski – Bogowie, 2015: Małgorzata Szumowska – Body/Ciało, 2016: Jan P. Matuszyński – Ostatnia rodzina, 2017: Piotr Domalewski – Cicha noc



Kadr z filmu „Kler” w reż. Wojciecha Smarzowskiego

## Platynowe Lwy dla Jerzego Skolimowskiego

Platynowe Lwy to nagroda, którą corocznie przyznaje Komitet Organizacyjny Festiwalu, by uhonorować całokształt twórczości wybitnych twórców. Dotychczas otrzymali ją m. in. Andrzej Wajda, Jerzy Antczak, Sylwester Chęciński, Tadeusz Chmielewski, Tadeusz Konwicki, Janusz Majewski, Roman Polański, Witold Sobociński, Jerzy Wójcik. W ubiegłym roku do tego grona dołączył Jerzy Gruza.

W tym roku Platynowe Lwy otrzyma reżyser, scenarzysta i aktor filmowy, poeta i malarz – Jerzy Skolimowski.

## Konkurs Główny 43. FPFF

1. „7 uczuć”, reżyseria: Marek Koterski (premiera) 2. „Autsajder”, reżyseria: Adam Sikora 3. „Dziura w głowie”, reżyseria: Piotr Subbotko (debiut) 4. „Eter”, reżyseria: Krzysztof Zanussi 5. „Jak pies z kotem”, reżyseria: Janusz Kondratiuk 6. „Kamerdyner”, reżyseria: Filip Bajon (premiera) 7. „Kler”, reżyseria: Wojciech Smarzowski (premiera) 8. „Krew Boga”, reżyseria: Bartosz Konopka (drugi film, premiera) 9. „Pewnego razu w listopadzie”, reżyseria: Andrzej Jakimowski 10. „Twarz”, reżyseria: Małgorzata Szumowska 11. „Wilkołak”, reżyseria: Adrian Panek (drugi film, premiera) 12. „Zimna wojna” reżyseria: Paweł Pawlikowski 13. „Fuga”, reżyseria: Agnieszka Smoczyńska (drugi film) 14. „Juliusz” reżyseria: Aleksander Pietrzak (debiut) 15. „Ułaskawienie”, reżyseria: Jan Jakub Kolski (premiera) 16. „Zabawa, zabawa”, reżyseria: Kinga Dębska (premiera)

**16 nowych produkcji** – w tym tak oczekiwane tytuły jak „Kler” Wojciecha Smarzowskiego, „7 uczuć” Marka Koter-

skiego, „Kamerdyner” Filipa Bajona czy „Fuga” Agnieszki Smoczyńskiej powalczą na 43. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni o Złote Lwy. Wśród nich jest bezwzględny faworyt w tym roku: „Zimna wojna” Pawła Pawlikowskiego uhonorowana Złotą Palmą za reżyserię w Cannes. Dwa z filmów w głównym konkursie to debiuty, a trzy to drugie tytuły twórców.

Zapowiada się bodaj najciekawszy festiwal polskich filmów od lat, mimo że i w poprzednich kilku latach nie mieliśmy powodów do narzekań. Tym razem jednak mamy zdecydowanego faworyta, który nie dość, że wyjechał z laurem z Cannes, gdzie w ogóle nie było od lat polskiego kina, to jest też wymieniany przez krytyków jako jeden z liczących się konkurentów do Oscara w głównej kategorii – Najlepszy Film, niemal całkowicie zdominowanej przez produkcje anglojęzyczne. Pokonanie takiego giganta będzie niezwykle trudne.

Na tym jednak nie koniec, bo konkursie głównym mamy też inny obraz już obsypany laurami – mowa oczywiście o znanej nam doskonale „Twarzy” Małgorzaty Szumowskiej nagrodzonej Srebrnym Niedźwiedziem – Grand Prix Jury na tegorocznym Berlinale. Obok już uznanych produkcji publiczność konkursu zobaczy chyba najbardziej oczekiwany tytuł 2018 roku, czyli „Kler” Wojciecha Smarzowskiego – film budzący wielkie emocje, opowiadający o problemie pedofilii w Kościele katolickim. Jak zwykle w przypadku tego reżysera – ulubieńca i widzów i krytyków, zobaczymy doborową obsadę aktorską: Janusza Gajosa, Arkadiusza Jakubika i Roberta Więckiewicza. (<http://www.tvn24.pl>) **ZSCZ**



# Teatr Czwarte Miasto w Bredzie



**DOROTA SADOWSKA**

W dniach 26-27.05.2018 r. Teatr Czwarte Miasto na zaproszenie Fundacji Buda Staging Performance w ramach projektu Magiczne Granice występował w Holandii. Wspólnie z Polonią świętowano Dzień Matki przy spektaklu „Pchła Szachrajka w Bredzie” Jana Brzechwy w reż. Adama Dzieciniaka. Dzieci żywo reagowały na popisy Pchły Szachrajki a po spektaklu wspólnie z aktorami bawiły się malując twarze, wykonywali wodne tatuaże oraz kolorowały postaci z bajki. Spektakl oraz cała oprawa występów przypadła do gustu małym i dorosłym widzom. Sztuki wystawiane przez nasz teatr cieszą się dużym powodzeniem Teatr Czwarte Miasto wraz z Buda Staging Performance wspólnie planuje kolejne wizyty i niespodzianki. ■



Wspólne zdjęcie ze wspaniałą publicznością



Aktorzy i zespół Teatru Czwarte Miasto oraz zespół Fundacji Buda Staging Performance



Licznie zgromadzona publiczność

# Zapomniana uczona – belgijski epizod kariery Józefy Joteyko



## ANNA FRANÇOIS-KOS

**S**tanisław Sedlaczek pisał tu po jej śmierci, w 1928 r.: „Jest rzeczą zwykłą na świecie, a w Polsce może częstszą niż gdzie indziej, że na wartość i wielkość ludzi zwraca uwagę dopiero gdy ich zbraknie. Tak oto dla szerszych sfer społeczeństwa niepostrzeżenie niemal przeszła przez życie jedna z największych kobiet polskich, obok Curie- Skłodowskiej najslawniejsza w świecie nauki, pierwsza kobieta, która wykładała w College de France, a po Mickiewiczu i z tej samej katedry, bezpośrednio druga. Uczona światowej sławy, wielka patriotka i działaczka społeczna, organizatorka, a przede wszystkim wychowawczyni wychowawców, człowiek niezwyklej wiedzy i pracy, człowiek wielkiego serca i dobroci niezwyklej. Ode-

szła przedwcześnie i w pełni sił psychicznych, a społeczeństwo nie poruszyła głębiej wieść o Jej śmierci, dopiero akademie ku Jej czci urządzone w Uniwersytetach Krakowa, Wilna, uroczyste posiedzenia Towarzystw naukowych, stwierdzając zacyzynają, że rozumiano, jaką Naród poniósł stratę.”

Niestety, na tym się skończyło, Józefa Franciszka Joteyko nadal pozostaje postacią znaną tylko w wąskim gronie specjalistów. W Brukseli podjęto próbę przypomnienia jej działalności organizując od 3 lat konkurs imienia Józefiny Joteyko „Nagroda dla Wybitnej Polki w Belgii – Joteyka!”, którego celem jest ukazanie pozytywnego wizerunku Polek w Belgii, promocja kobiet oraz prezentacja osiągnięć Polek w dziedzinie nauki, kultury i działalności społecznej.

Józefa Joteyko to wybitna uczona, prawdziwa feministka i Europejka tamtych czasów. Kijów, Warszawa, Genewa, Paryż, Bruksela – to miasta, w których zdobywała wiedzę i prowadziła działalność naukową. Zajmowała się psychologią, fizjologią, była pedagogiem i organizatorem pedagogiki specjalnej.

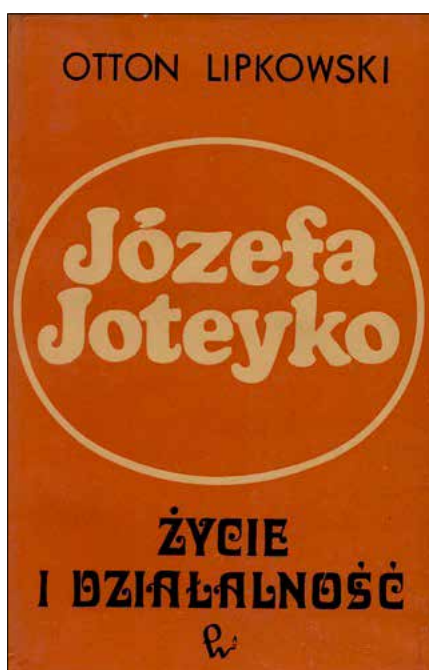
Józefa, nazywana także Joséphine lub Josephina pochodziła z arystokratycznej rodzi-

ny litewskiej, urodziła się 29 stycznia 1866 w Poczujkach w pobliżu Kijowa. Początkowo uczyła się w domu, ale w 1873 r. rodzice zdecydowali się przeprowadzić z całą rodziną do Warszawy. Tam ukończyła szkołę średnią, ale na studia wyjechała do Genewy, gdzie uzyskała licencjat z zakresu nauk fizycznych i przyrodniczych. W 1989 pojawiła się po raz pierwszy w Brukseli, gdzie studiowała na Wydziale Lekarskim, pracę doktorską obroniła jednak w 1896 r. w Paryżu i tam uzyskała dyplom doktora wszech nauk lekarskich. Pracę habilitacyjną natomiast obroniła w 1927 r. na Uniwersytecie Warszawskim.

Skoncentrujemy się nad jej belgijskim epizodem życia. Po ukończeniu studiów w Brukseli wróciła do Paryża, gdzie na krótko znalazła się poznana jeszcze w Genewie starsza od niej o 11 lat przyjaciółka, Michalina Stefanowska. Zamieszkały razem w dzielnicy łańskiejskiej, w skromnym pokoiku przy ulicy De La Galcière 19, gdzie spędziły wspólnie sześć lat. Kiedy Stefanowska otrzymała pracę w Instytucie Fizjologicznym w Brukseli, osamotniona po wyjeździe serdecznej przyjaciółki Joteyko zdecydowała się podążyć za nią i w 1898 r. podjęła pracę także w Instytucie Fizjologicznym Solvaya.



Józefa Joteyko



Tadeusz Joteyko



Michalina Stefanowska tak wspomina tamte czasy: *Znajomość moja z Józefą Joteyko datuje się od r. 1886. Poznałyśmy się na Uniwersytecie w Genewie, gdzie obie odbywałyśmy studia przyrodnicze. Józefa Joteyko miała wówczas niespełna 20 lat; odznaczała się wysokim wzrostem i smukłą postacią, miała piękne regularne rysy twarzy, prześliczną bladą cerę jasnej blondynki i krótko obcięte włosy. Nosiła obcisłe ubranie, binokle i kokietyrnie paliła papierosa; wszystko to razem czyniło ją podobną do młodzieńczego chłopca. Na twarzy jej był rozlany niezwykły wyraz szlachetności, przy tym cechował ją stale wesoły, figlarny humor i miły uśmiech, tak, iż ta najmłodsza z ówczesnych studentek od razu zyskała sympatię w kolonii studenckiej. (...)*

Po dwóch latach studiów przyrodniczych w 1888 r. wróciła do Warszawy. Spotkała tam znowu dawną przyjaciółkę, Michalinę: *„Na gruncie warszawskim nastąpiło pewne zbliżenie między Józefą Joteyko a mną, koleżanką starszą, która przed wstąpieniem na uniwersytet już była nauczycielką (...). W Warszawie poznałam rodziców Joteyko oraz jej młodsze rodzeństwo. W r. 1889 Józefa wyjechała z rodziną do Brukseli i zapisała się na wydział lekarski, siostra jej wstąpiła na wydział przyrodniczy”.*

Przyjaźń ta przerodziła się początkowo w serdeczną korespondencję, a potem we wspólne zamieszkanie w Paryżu i w Brukseli: *„Józefa Joteyko mając usposobienie bardzo wrażliwe, doznawała silnych wzruszeń (...). Rozstanie się ze swą przyjaciółką choćby na kilka tygodni, przyprawiało ją o rozstrój humoru. W ciągu siedemnastu lat naszego wspólnego pożycia nie zdarzało się, żeby Joteyko zapadła na jakąś poważną chorobę, ale nie miewała zgola drobnych nawet dolegliwości (...).*

Kariera Joteyki rozwija się w tempie błyskawicznym. W 1889 r. otrzymała asystenturę w prestiżowym Instytucie Fizjologicznym Solvey'a. Wkrótce powierzono jej stanowisko kierownika pracowni psychofizjologicznej na ULB, które obejmowała przez 14 lat. Prowadziła tam zajęcia z zakresu psychologii eksperymentalnej. Początkowo zajmowała się głównie fizjologią pracy i fizjologią zmęczenia mięśni oraz problemami bólu. Z czasem zainteresowała ją pedologia, czyli nauka o dziecku stawiająca sobie za cel całość badań problematyki związanej z rozwojem psychicznym i fizycznym dziecka. Pedologia wywarła znaczny wpływ na koncepcje pedagogiczne i przyczyniła się do wykorzystania zdobytych eksperymentalnej psychologii dziecka i pediatrii w instytucjach

oświatowo – wychowawczych: żłobek, przedszkole, szkoła. Fascynował ja układ nerwowy i jego ukształtowanie u dziecka w różnym wieku. Jej badania stały się bazą dla neurologii rozwojowej. I o ile termin pedologia zniknął z terminologii naukowej, o tyle stwierdzić trzeba, że efekty jej licznych badań stały się bazą do funkcjonowania dzisiejszych poradni psychologiczno-pedagogicznych.

Józefa Joteyko była założycielką Międzynarodowego Fakultetu Pedologicznego w Brukseli (1912) będącego wyższą szkołą nauk psychologicznych i pedologicznych przygotowującą pedagogów nowego typu.

Wcześniej jednak, w 1905 r. została przewodniczącą Towarzystwa Neurologów Belgijskich, w 1911 zorganizowała I Międzynarodowy Kongres Pedologii i była jego sekretarzem generalnym. Kongres zgromadzili przeszło 500 specjalistów z 21 państw i wygłoszono na nim około 100 referatów. Opracowała zresztą i wydała sprawozdanie z tegoż kongresu, które liczyło 1100 stron druku!

Założyła i redagowała belgijski kwartalnik „La Revue Psychologique”, w którym publikowała bardzo liczne prace naukowe. Opracowała kilka podręczników za zakresu pedologii. Zajmowała się także badaniami nad harcerstwem.

Równoległe z pracą naukową zajmowała się pracą pedagogiczną. Psychologię eksperymentalną i pedologię wykładała także na seminariach nauczycielskich w Mons i Charleoi, w latach 1915/16 w wyższej szkole kształcącej nauczycieli. Wykładała w Gandawie i w Antwerpii. Jedną ze słuchaczek jej wykładów pisała: *„Pragnęła nam ułatwić wszechstronne poznanie nauki, sztuki, historii, zasobu i urządzeń społecznych całej Belgii, otworzyć oczy na piękno w życiu, sztuce, nauce, a przede wszystkim w twórczym czynie, kierowanym miłością bliźniego”.*

I wojna światowa przerwała jej działalność na gruncie belgijskim. Wyjechała z powrotem do Paryża, gdzie powierzono jej katedrę w College de France a jej pierwszy wykład wzbudził ogromne zainteresowanie, między innymi także dlatego, że był to pierwszy wykład kobiety na tej słynnej uczelni.

W 1919 roku wróciła do Polski i w nowo powstałej ojczyźnie kontynuowała pracę pedagogiczną i naukową.

Dodajmy przy okazji, że z Bruksela związany był także jej brat, Tadeusz Joteyko – dyrygent, kompozytor, pedagog muzyczny, autor podręczników do nauki muzyki. W latach 1889–1891 studiował w konserwatorium w Brukseli.

## E. Wicha-Wauben **trzy rękawiczki**

*Dla Ewy Batyry*

*jedna znaleziona rękawiczka  
w ostatni dzień roku  
(w autobusie)  
to może jeszcze nie znak  
ale trzy!  
(druga w pociągu  
trzecia na stacji przy stojaku  
na rowery)*

*przy pierwszej  
ingerowałam w los  
ale kierowca wzruszył ramionami  
jak wszechwiedzący bóg*

*oczywiście  
świat i tak się kręci  
wszystko  
będzie się nadal wydarzać  
jakby nie zmieniały się  
cyfry w kalendarzu*

*kupi się nowe rękawiczki  
które nie będą  
żadnym nowym początkiem  
lecz wpasują się  
w nieubłagalny bieg rzeczy*

*otrzymałam na to znak*

4 stycznia 2018

Danuta Ławniczak

## **chwila**

*skrzydłami Anioła  
bosko otulona  
od nadmiaru szczęścia  
głowa lekko przechylona  
nad głową aureola myśli  
w rozjaśnionej barwie  
w chwili tej nie uświadczysz  
śladu myśli czarnej  
nieodknięte oczy  
mądrość swą kierując do wnętrza  
spod powiek na twarz całą  
płynnie blask wniebowzięcia  
i jest mi dobrze  
dobrze po prostu  
jak na świętym obrazku  
tylko Ty Aniele mój  
skrzydeł nie prostuj  
nie odlatuj*

2018 r.

# Łowiectwo – o co w nim naprawdę chodzi?



**MACIEJ KOLAŃCZYK**

stnienie silnej, wewnętrznej motywacji – sprawiającej, że niektórzy z nas odczuwają pasję łowiecką – nie podlega dyskusji. Jedni ją mają, drudzy nie. Dla wielu z nas jest to silny motyw życiowy determinujący postawy i dążenia. Często nadaje styl osobowości, decyduje o obieranym kierunku wykształcenia i drodze zawodowej. Coś musi w tym być – coś pierwotnego, dziwnego ale prawdziwego.

Poruszając się w środowisku myśliwskim od wielu lat poznałem ludzi o bardzo różnych postawach i motywacjach. Byli wśród nich ludzie patrzący na łowiectwo emocjonalnie i traktujący je jako rodzaj misterium. Byli i tacy, sprowadzający je do czysto utilitarnych funkcji. Byli ludzie, którzy wynieśli pasję i ideały ze środowiska rodzinnego, ale byli i tacy, w których namiętność obudziła się jakby bez źródła, czasem w późnym wieku – i zapłonęła wielkim, żarliwym płomieniem. Jak we wszystkich rodzajach aktywności człowieka byli tam pasjonaci, dla których życie bez łowiectwa zdawało się nie mieć sensu i wielu takich, dla których myślistwo było tylko okazjonalną rozrywką i pretekstem do spotkania z kolegami. Albo nawet źródłem dodatkowego dochodu. Postawy te zmieniały się często w miarę upływu życia tej samej osoby.

Trudno jest sformułować jedną, analityczną diagnozę źródeł pasji myśliwskiej – uniwersalną dla wszystkich. Sam mogę jedynie spojrzeć wstecz – na własne myśliwskie życie i podjąć próbę opisanego tego, czego sam doświadczyłem. Być może nie jestem osamotniony w takim właśnie pojmowaniu łowiectwa.

Wydaje mi się, że o tych sprawach warto i trzeba rozmawiać. W wielu krajach myślistwo stawiane jest obecnie pod pręgierzem a uproszczone „ekologiczne myślenie” dostarcza wielu argumentów, by poddawać je krytyce. W wielu przypadkach nie pozabawionej racji.

Instynkt łowiecki odczułem już jako kilkuletni chłopiec. Pamiętam głęboki zawód, jaki przeżywałem gdy moi Stryjowie brali na polowania moich starszych zaledwie o rok-dwa braci, klasyfikując mnie jako zbyt małego. Nie było to tylko zwykłe poczucie niesprawiedliwego wykluczenia czy zazdrości, ale zawód pozbawienia mnie tych wspólnych przygód, o których już słyszałem w rozmowach dorosłych, a o których później czytałem w skrętnie wyszukiwanych książkach i czasopismach. Wydawało mi się wtedy, że tracę coś cennego, czego nigdy już nie nadrobię. Miałem rację. Każde przeżycie łowieckie jest bowiem inne, o ile tylko zechcemy potraktować je jako ten jeden, niepowtarzalny spektakl.

Spędzając wakacje na leśniczówkach dużo przeżywałem w lesie. Głęboko wryły mi się w pamięć widoki licznych w tamtych latach chmar jeleni – przecinających o zachodzie słońca porośniętą wrzosem drogę w Borach Tucholskich czy nagły zryw serca, gdy z wysokiej trawy na skarpie wyskoczył mi niespodziewanie spod nóg rogacz. Miałem chyba z 5 lat i łapałem motyle. I choć od tej chwili minęło prawie 60 lat – nadal mam go przed oczami. Mocny, czerwony jak płomień szóstak. Jest symbolem moich myśliwskich marzeń i moim pierwszym trofeum.

Instynkt łowiecki nie potrzebuje wielkich pożywek. Ten sam instynkt dotyczy bicia much i polowania na grubego zwierza. Jako chłopak przeżywałem wielkie emocje polując z wiatrówką na myszy, a moment w którym po długich zasiadkach udało mi się ustrzelić pierwszego szczura był tak samo emocjonujący, jak ten, kiedy u moich stóp leżał pierwszy dzik. Sama radość sukcesu myśliwskiego nie wynika jednak koniecznie z faktu pozbawienia zdobyczy życia. Tę samą niezapomnianą radość przeżywałem doprowadzając do spotkania z rzadkim zwierzęciem. Wydra pomykająca po lodzie w księżycową noc, a nawet kruk – widziany w czasach, kiedy ich było jeszcze bardzo mało. Myślę o nim często przechodząc w tym zakątku łowiska, choć kruków jest teraz tak wiele. Bardzo podobną radość odczuwa wędkarz wyciągający z wody rybę a nawet śledczy – sukcesem kończący trudne dochodzenie. Myślę, że bardzo podobne uczucia towarzyszą i szachiście, stawiającemu zawiłe pułapki i dającego przeciwnikowi mata po chytrym manewrze. To wszystkim są łowy.

Na czym więc polega istota instynktu myśliwskiego? Samo pojęcie instynktu wymaga już pewnego zastanowienia. W tradycyjnym opisie intelekt dzielimy na ten ludzki – kierujący się rozumem, i zwierzęcy – powodowany (zaledwie) instynktem. Instynkt zwierzęcia traktowany jest jako uproszczona forma rozumowania, rodzaj protezy racjonalnego myślenia. Jeśli jednak człowiekowi przypisujemy posiadanie instynktu, traktujemy go jako szczególną, ponadnormatywną zaletę, stawiającą go ponad przeciętność. Tak rozumiany instynkt jest zdolnością przeczucia, zastępującego logiczną myśl. Jest umiejętnością przewidzenia kolejnego ruchu, wyboru optymalnego rozwiązania odruchowo, bez przemyśleń. Jest jak naturalna, spontaniczna inteligencja nie wymagająca analizy. Czy słusznie tak różnie wartościujemy umysłowość ludzi i zwierząt? A może takie nasze wyobrażenie jest tylko przejawem naszego ludzkiego szowinizmu?

W grze jaką jest polowanie zwierzyna jest naszym przeciwnikiem. Przeciwnik – tak jak w sporcie – wcale nie jest wrogiem. W łowiectwie zwycięstwo skończyć się może śmiercią gracza, co już ogranicza możliwość traktowania je w kategoriach partnera rozrywki sportowej. To gra na śmierć i życie, w której przebiegłość, czułość zmysłów i niesłychana sprawność fizyczna przeciwstawia się coraz lepszymu sprzętowi, wyrafinowanym urządzeniom myśliwskim, umiejętności planowania i analizy. Paradoksalnie – zwykle wiodącym motywem jest pragnienie pozyskania zwierzyny – jest jej piękno. To podobny motyw, dla którego kolekcjoner roślin pożąda rzadkiego okazu – dla jego piękna, niezwykłości, choć wie, że ścięty kwiat zwiędnie i w zbiorze będzie już tylko cieniem tej postaci, która go tak zachwycała. Trofeum, podobnie jak okaz w zbiorze pasjonata – ma wartość głównie emocjonalną. Jest materialnym dowodem odniesionego zwycięstwa i pamiątką pozwalającą zachować żywość wspomnienia przeżytych emocji.

Żyłkę łowiecką albo się ma, albo nie. Podziały te przebiegają i wewnątrz tych samych rodzin, wśród rodzeństwa wychowanego w tym samym środowisku i tradycjach. Dotyczy to zarówno ludzi jak i psów, naszych wiernych towarzyszy łowców. I tu i tu bywają – pasjonaci i zupełnie obojętni. Ta ponadgatunkowa zależność dowodzi, że uwarunkowana jest gdzieś głę-



boko w genach, a tych nie da się wydlubać. Niektórzy budzą się z uśpienia w zaawansowanym wieku, bo wcześniej nie było możliwości a teraz odkryli pasję jak rodzaj polowania. Wygląda to jak jakieś specyficzne uwarunkowanie genetyczne predestynujące nas do myśliwskiej namiętności. Miałem psa, setera irlandzkiego, który przybłąkał się do mnie jako dorosły pies, typowy kana-powiec i rozwinął do wspaniałego towarzysza łowów. Miał tę pasję w genach.

Choć polowanie ma ostatecznie na celu pozyskanie zwierzyny, radość łowiecka nie wynika z faktu jej uśmiercania. Zdobyc jest nam potrzebna jako forma ostatecznego, niepodważalnego dowodu sukcesu. W istocie rzeczy chodzi jednak o coś innego. Przeczytałem setki opowiadań myśliwskich opublikowanych w różnych zbiorach. W zasadzie są one dość schematyczne. Większość emocjonującej treści dotyczy tego, co dzieje się przed strzałem, co jest w pełni zgodne z rzeczywistym rozkładem czasu. Przygotowania, dojazdy, podchody, tropienie, zaskiadki – cała ta niezbędna gra wstępna – są

o wiele ważniejsze niż sam strzał, będący tylko kulminacją i jakby sprawdzeniem rozdanych kart. Wyjazd na polowanie, przygotowania, rozważania dotyczące wyboru terenu, miejsca – wszystko to daje niemniej radości niż samo polowanie. Dobrze pamiętam jedną najbardziej szczęśliwych chwil w moim myśliwskim życiu – kiedy jako młody chłopak wyruszałem z dubeltówką na ramieniu na swoje pierwsze samodzielne polowanie. Szedłem ulicami miasta na dworzec, pełen planów i taki szczęśliwy. Myśliwi dojeżdżający do łowiska z daleka są na ogół skuteczniejsi niż ci, którzy w nim mieszkają. Oni też przeżywają myśliwskie emocje żywiej, intensywniej. Więcej planują, marzą, a to nadaje polowaniu barwy i wartości. Bo przecież bardziej smakuje się owoc, który jest trudno dostępnym.

Spędzam co roku wiele dni i nocy na polowaniu a strzałów kulowych oddaję może z 10-15, może mniej. Większość wyjść w teren kończy się bez strzału. I tak jest dobrze. Strzał trwa tak krótko jak sam strzał. Jest po nim jeszcze emocja ewentualnych po-

szukiwań, niepewność wyniku, dochodzenia zdobyczy... I wreszcie – JEST!!! Wspomniała, wymarzona... MOJA!!!

Ten moment euforii jest jednocześnie naznaczony poczuciem, że oto coś się skończyło, bezpowrotnie, na zawsze. Wprawdzie tak bardzo chciałem upolować (tak, upolować – nie zabić!) tego dzika czy jelenia, a teraz leży u moich stóp, taki piękny, wciąż jeszcze jak żywy. Jestem szczęśliwy, że właśnie mnie się udało, a jednocześnie czuję, że to koniec legendy, którą żyłem ja i paru innych myśliwych. Dzięki Ci zatem, Święty Hubercie za łaskę, ale... trochę szkoda. Motyw ten odczytałem w wielu myśliwskich opowieściach, z czego wnosię, że nie jest wyłącznie moim osobistym doświadczeniem.

Zwierzyna funkcjonuje w świecie myśliwych w różnych wymiarach. Najpierw jawi się jako pożądany cel i motyw, skłaniający do poświęceń, wysiłku, wstawania w środku nocy, poświęceń w deszczu i mrozie. Budzi niesłychane, nieproporcjonalne do swej postaci emocje. Przeżywałem wielkie chwile na ciągach słonek, wracając z jedną czy dwiema na trokach, głęboko naznaczony nastrojem wiosennego zmierzchu gęstniejącego mi nad głową. Nadlatujący bez chrapania z niespodziewanego kierunku ptaszek budził takie samo bicie serca jak stary byk-selekt wychylający łeb z młodnika.

Jest w polowaniu faza pełna napięcia, gdy zmysły bez reszty nastawione są na strzał. Jak bardzo pożądamy wtedy zdobyczy! Nie pożądamy jej dla jej materialnej wartości, trofeum, ale w sposób irracjonalny. Chcemy jej, bo jest trudna do zdobycia, bo jest ulotna, bo ucieka. Bo zaraz zniknie w gąszczu i pewnie więcej jej nie spotkam. Bo jest taka piękna. Ta sama sztuka stojąca ufnie w ogrodzeniu żadnych myśliwskich emocji wzbudzać nie może. To właśnie zasadzanie się, tropienie, ściganie, cała ta rozgrywka ze zwierzem – są istotą łowiectwa w o wiele większym stopniu niż sam strzał. Wyraża to już sama nazwa – polowanie. Oznacza ona czynność trwającą, akcję ścigania, a nie sam akt zadawania śmierci. Ten sam źródłosłów występuje i w innych językach europejskich: hunting, Jagd, caccia, polovacka, ochota, caza... wszystkie te nazwy odnoszą się do pogoni, łapania a nie złapania czy uśmiercania.

Nam jest potrzebna zwierzyna – żywa, ruchliwa a nie jej martwa tusza. Dla wielu niezrozumiała jest pozorna sprzeczność wynikająca z faktu, iż deklarując miłość do przyrody jednocześnie uśmiercamy zwierzęta. Że to my dbamy o zwierzynę, chronimy, dokarmiamy – a jednocześnie polujemy na nią.

Chronimy, by mieć przeciwnika do tej dziwnej gry, jaką jest łowiectwo. Chronimy, by była, wzbudzała emocje, kryła się przed



Spotkanie w lesie

Fot. Roman Andrzejewski



Widok z ambony

Fot. Maciej Kolańczyk

nami, czasem zwyciężając, przechytrzając nas – czasem ginąc. I choć często marzymy o łatwym sukcesie, o tym – by wymarzony byk wyszedł już w pierwszy wieczór, ale jakież to zawód, gdy łowy kończą się tak szybko, zbyt łatwo. Ta łatwość odbiera im wartość.

Polowanie może przybierać różne formy. Możemy oszukiwać się sami, „polując” na bażanty wypuszczane z klatek rozstawionych w łanie kukurydzy. Wygląda to nawet całkiem normalnie – rwą się bukiety kogutów, strzały padają gęsto i są niewiele łatwiejsze od strzałów do dzikiego koguta na prawdziwym polowaniu. Również i te hodowlane koguty mogą być ładne i piękne. Nie zmienia to faktu, że myśliwska wartość tych polowań jest czystą iluzją. Wolę jednego koguta strzelonego na prawdziwym polowaniu spod psa niż 1.000 latających brojlerów. Nawet jeśli wyglądają identycznie. Ten dziki ptak – zwłaszcza ten doświadczony kogut, pod koniec sezonu – jest trudnym do pokonania przeciwnikiem. Wolierowy bażant wyrusza w swój pierwszy wolny, a często i ostatni lot. Jedyne element hazardu przetrwał tu w niepewności na kogo polecą i czy strzał będzie celny. Czy na tym polega myślistwo?

Nie tak dawno na strzelnicach myśliwskich strzelano do żywych gołębi wypuszczanych w podobny sposób z klatek. Łatwo sobie wyobrazić te ptaki, z połamanymi skrzydłami, zbierane po serii strzeleckich ćwiczeń. Jak dobrze, że czasy te przeminęły!

Strzał nie jest na polowaniu najważniejszy. Jest niby ostatecznym celem i ukoronowaniem wysiłku, zapewniającym ewentualne potwierdzenie sukcesu. Ale i polowania, na których do strzału nie dochodzi są pasjonujące. Dla przeżycia pełnej radości polo-

wania wystarczy mieć ważny odstrzał dający poczucie, że można by, gdyby los tak zdarzył. Nie chodzi koniecznie o samo pozyskanie, ale myśl, że ma się taką szansę. Otwiera to nowe pole do rozważań i spekulacji w czasie zsiadki, wzmacnia napięcie przy trzasku gałęzi w młodniku, bo może jednak...

Po strzale następuje akt drugi: zwierzę jest jeszcze ciepłe, sprawia wrażenie jakby spał, nie stracił nic ze swej naturalnej urody. To faza, kiedy cieszymy się z sukcesu, bo oto osiągnęliśmy cel – czasem po długich i żmudnych wysiłkach. Jest to premia za znajomość rewiru, myśliwską pracowitość, umiejętności podchodzenia i cierpliwość w zasiadce. Jest to rodzaj euforii, jaka towarzyszy dobiegnięciu do mety po długim i wyczerpującym biegu. Tak, dałem radę, zwycięstwo! Potrafiłem przechytrzyć przeciwnika, wykazałem swoją sprawność. Jest chwila tryumfu, odprężenia, czasem refleksji. Ale trwa ona krótko. Złom, może gratulacje, zdjęcie...

Realia wzywają. Tu zaczyna się faza trzecia – to przemiana zwierzęcia w tuszę, którą trzeba wypatroszyć, wyciągnąć, zabezpieczyć, zawieźć do skupu czy oskórować.. Tu kończy się przyjemność i zaczyna obowiązek i praca. Zdarzało mi się widywać lisy, wiszące gdzieś na sznurku i czekające na niechętne oskórowanie, bo wartość miały tylko jako przeciwnik, chytrze unikający spotkania. Martwe, zimne i sztywne przestają być tym śmigłym lisem zwabionym w lesie i stają się tylko kłopotliwym obiektem wymagającym mało przyjemnej pracy. Sprawiały, że zastanawiałem się nad sensem przerywania ich życia w tym jednym wabiarskim, kłamliwym zaproszeniu na ucztę z zająca. A jednak sam je wabię i strzelam,

traktując każde spotkanie jak niepowtarzalny wariant gry. I to często one wygrywają.

Jest i jeszcze jeden aspekt, w którym można postrzegać zwierzyne, ale ten jest dla mnie dość odległy. Użytkowość zwierzyny jako pokarmu nie ulega wątpliwości. Nie jest jednak ona, przynajmniej dla

mnie żadnym motywem sprawiającym, że chcę być myśliwym. Nie wyobrażam sobie wyjścia do lasu z myślą, że oto idę tak jakby do sklepu mięsnego. Las jest dla mnie nadal świątynią, a ja sam jednym z uczestników misterium życia i śmierci.

O cóż więc chodzi w łowiectwie? I do czego ono zmierza?

Jeśli motywacją są głównie emocje, przygody związane z pościgiem, tropieniem i wzajemnym przechytrzaniem się, to końcowy efekt śmierci nie jest tak naprawdę konieczny. Nie miałbym osobiście nic przeciwko temu, gdybym strzelonego dzika mógł na nowo ożywić. Strzelam, dochodzę, czuję się zwycięzcą, a potem – jak dobra wróżka – ożywiam go i.... uchodzę... wolny, zdrowy, jeszcze ostrożniejszy po tej przygodzie. Być może niesie gdzieś pod skórą elektronicznego chipa z informacją, że to ja już go kiedyś pokonałem. Jego elektronicznie zeskanowany orzeź wyglądać będzie dokładnie jak prawdziwy na ścianie mojego myśliwskiego gabinetu. A dzik – nauczony tym doświadczeniem, będzie trudniejszy do upolowania następnym razem. Czy to nie kusząca wizja przyszłości?

Pamiętam gabinety myśliwskie moich Stryjów – ściany zawieszono trofeami, pieczołowicie oprawionymi i opisanymi inicjałami i datą. Każde z nich to historia, ważna, pamiętna, gotowa do odtworzenia. Dla ich zdobywców, może dla jego syna. Ja sam też mam taki gabinet. Ale już mój syn, choć też namiętny i szczerzy myśliwy wiesz swoje trofea tylko w moim domu. Nie znam prawie nikogo z młodego pokolenia, który jeszcze może powiesić swe trofea na oficjalnej ścianie mieszkania. Zwykle lądują gdzieś w najbardziej ukrytym pomieszczeniu a często gdzieś na strychu czy w piwnicy. Bo trofea są już tylko wartością zrozumiałą dla nas samych, myśliwych. Dla postronnych – gabinet myśliwski to często tylko złowieszczka trupiarnia, pełna czaszek i symboli przemocy. Bardzo rzadko zobaczyć też można gdzieś w mieście – myśliwego ubranego jak na polowanie. To tak jakbyśmy zstępowali do podziemia.

I będziemy tam musieli zstąpić, jeśli nie zaczniemy o łowiectwie mówić – otwarcie, bez programowej wrogości dla innych poglądów, wyjaśniając nasze motywacje i towarzyszące im uczucia. Musimy też chcieć zrozumieć zastrzeżenia formułowane pod naszym kątem. Bo przecież nie może być tak, że zawsze mamy rację. ■



# Upalny podryw



**JERZY SKOCZYLAS**

Plaża, leżak, upał jak w tropiku,  
słońce praży, wiatr prawie nie wieje,  
krople potu ściekają po czole,  
ależ dziś niemiłosiernie grzeje.

Zero chmurek, żadnego powiewu,  
skwar, duchota, organizm paruje,  
złote plamki krążą przed oczami,  
mózg praktycznie wcale nie pracuje.

Mrówka chodzi po spoconej nodze,  
wypadałoby trzepnąć gadzinę,  
ale niech tam, nich sobie połazi,  
strąć mrówkę później, za godzinę.

Ta dziewczyna, co leży opodał,  
znów mnie dręczy zabójczą urodą,  
kusi każdym ruchem, każdym gestem,  
biustem, brzuchem, lewą, prawą nogą.

Ale co to!? Ta boska dziewczyna  
nagle wstaje i zwraca się do mnie:  
– Proponuję łyk czegoś zimnego,  
słońce pali dzisiaj nieprzytomnie.

Pani mówi to do mnie? Poważnie?  
Boże, śnić nie śmiałem o tej chwili.  
Czy na pewno chodzi pani o mnie?  
Czy mnie pani z kimś innym nie myli?

Już od dawna na pana spoglądam,  
delikatnie zerkam, obserwuję,  
a coś we mnie, gdy patrzę na pana,  
się po prostu, tu w środku, gotuje.

Ja wiem dobrze, że pan jest żonaty,  
ale żona tam dalej się smaży,  
a więc mamy odrobinę czasu,  
daję słowo, nikt nie zauważy.

Powiem szczerze, mieszkam niedaleko,  
tuż przy plaży, w tamtym pensjonacie.  
Gdyby zechciał pan teraz pójść ze mną  
to zapraszam, mam u siebie w chacie

super barek, a w nim do wyboru:  
piwo, whisky i markowe trunki.  
Sącząc drinka może nawiążemy  
jakieś bliższe, wzajemne stosunki ...

Przecież pan mnie oczami rozbiera,  
my kobiety doskonale wiemy,  
co spojrzenia takie oznaczają.  
No więc jak, drogi panie, idziemy!?

Czy idziemy!?! Biegniemy! Lecimy!  
Dzika żądza dodała mi skrzydeł.  
Już jesteśmy u niej w garsonierze  
wśród poduszek, kanap i pachnideł.

Już nalała mi wonnego drinka  
i zniknęła za drzwiami łazienki,  
ale drzwi rozmyślnie nie zamknęła  
bym mógł chłonąć oczyma jej wdzięki.

Krew jak gejzer uderza po skroniach  
gdy wychodzi golotka i piękna.  
Siada przy mnie, bierze mnie w objęcia,  
łeb z nadmiaru wrażeń aż mi pęka.

Chyba zaraz rozsadzi mi czaszkę ...  
.... gdzie się moja dziewczyna podziała?  
Jakim cudem nagle, w okamgnieniu  
się w czerwony uniform przebrała?

Razem z żoną szarpie mnie za ramię.  
Nie jest piękna, lecz gruba i ruda.

Niech pan leży! Jestem z pogotowia!  
Dałam zastrzyk ... to słoneczny udar.

# Odczarować angielski (i polski)

## MAŁGORZATA BONIKOWSKA

Wróciłam już z Polski do Kanady,  
a mój pobyt tam był ciekawy również z przyczyn linwistycznych. Jak to językoznawca – taka choroba zawodowa – przypatrywałam się (i przysłuchiwałam) polszczyźnie używanej przez naszych rodaków znad Wisły.

Trzeba przyznać, że przesadnej dbałości o czystość języka nie zauważałam – na każdym roku anglicyzmy, nawet tam, gdzie nie ma takiej potrzeby, bo przecież mamy w języku polskim polski wyraz „twórca” po co zatem używać spolszczonego wyrazu zapożyczonego z angielskiego „kreator”? Wszędzie słychać o „eventach”, „dewelopowaniu” i wiele innych. Może w przekonaniu Polaków takie twory językowe brzmią bardziej elegancko?

Anglicyzmy pojawiają się w języku naszych rodaków znad Wisły niezwykle często.

Oto kilka przykładów z tego co słyszałam:

- RANDOMOWE ogłoszenia czy wypowiedzi,
- KONTENTY, np. „ten kontent trzeba szybko zmienić czy uaktualnić”,

- UPDATOWAĆ, nie wiem jak to powinno być napisane, może UPDEJTOWAĆ, bo wyraz ten słyszałam tylko, ale za to wiele razy, także w kombinacji UPDATOWAĆ KONTENT,
- SKILL w znaczeniu wysokiego stopnia umiejętności w jakiejś dziedzinie, a więc słyszałam, że „ktoś ma SKILLA”,
- COOL, TRENDY – te przymiotniki oznaczające coś czy kogoś atrakcyjnego używane są na porządku dziennym, głównie przez młodzież,
- LOOK w sensie wygląd, np. „patrz, jaki ona ma dzisiaj LOOK”,
- BIFOREK i AFTEREK – w młodzieżowym języku wyrazy te określają spotkania towarzyskie przed i po jakimś głównym wyjściu czy imprezie,
- MULTUM FUNU – to określenie dobrej zabawy,
- za FREE – to coś co nic nie kosztuje, jest za darmo,
- SORKI – to oczywiście przepraszam,
- Oki – dobrze,
- PLIZ – to proszę,

- LEVEL – rozmawiając o kursach edukacyjnych, np. językowych, czy o grach, Polacy już prawie wyłącznie mówią, że „są na którymś/wysokim LEVELU”,
- SALE – to słowo jest częściej używane niż polski wyraz „wyprzedaż”,
- SECOND HAND – to wyrażenie jest stosowane bardzo często w odniesieniu do ciuchów, zamiast przymiotnika „używany”,
- WEDDING PLANNERKA – tak, słyszałam to wyrażenie w takiej formie zamiast „organizatorka ślubów”.

Przykłady można mnożyć – angielski załewa Polskę. Nie wszystkie te zapożyczenia są potrzebne, bo język polski ma swoje własne wyrazy, ale... taki jest TREND (sic!).

Zapraszam na sesję „language coaching” ze mną – wirtualne, przez Skype, czyli nieważne gdzie Państwo mieszkają. To daje ogromną elastyczność i swobodę czasową. Jest to całkowicie zindywidualizowana praca nad konkretnymi problemami i błędami, jakie popełniają Państwo w języku angielskim.

MBONIKOWSKA@GAZETAGAZETA.COM

# Uroki lata – ogórek małosolny



**ZOFIA  
SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ**

W młodości, w nietypowy dla dziewczyny sposób, spędzałam wolny czas z wędką w ręku. Zaczęło się od egzaminu na kartę wędkarską. Panowie z komisji koniecznie chcieli mnie usadzić, zadając mnóstwo podchwytliwych pytań, ale nawet z pytaniem o białą rybą dałam rady. Dumna opuszczałam pokój egzaminatorów mijając kolejkę oczekujących na korytarzu mężczyzn. Poza mną była tylko jedna kobieta, sekretarka wydająca szczęśliwcom karty wędkarskie. „A pani co tu robi?” – spytała. „Zdawałam egzamin...” odpowiedziałam. „A po co? Kobiety są zwolnione z egzaminu, bo w naszym kole ich nie ma. Pani jest pierwsza.”

A co mi tam. Zdałam, mam satysfakcję. A teraz nad wodę. Moi koledzy z którymi jeździłam na ryby to byli prawdziwi wędkarze. „Pamiętaj – sama kopiesz sobie robaki, nakładasz na haczyk i zdejmujesz z niego zdobycz. Rybkę oprawiasz i smażysz. Od A do Z – wtedy jesteś prawdziwym wędkarzem.”

A co ma wspólnego z tym wstępem ogórek małosolny? Otóż ma. W tym roku, poza innymi zaprawami postanowiłam

poświęcić czas ogórkom. Od A do Z. Na wiejskim ryneczku udało mi się kupić sadzonki ogórków. Gdzieś z boku, obok straganów, stał pan z kwiatami, a w kilku kartonach miał sadzonki. Myślałam, że to cukinie, zagadałam pana. „Ogóreczki szanowna pani, oddam po 1,5 złotego.” „Biorę po złotówce, wszystkie” – zażartowałam. I za chwilę ładowałam do samochodu sadzonki nie będąc pewna czy to ogórki czy dynie, albo cukinie. Były małe i było ich dużo. Pomyślałam, że posadzę je ciasno obok siebie i może jakaś sadzonka się przyjmie. Nie mam zbyt dużo miejsca na uprawy w moim ogródku i jakoś nie wierzyłam w mój ogórkowy eksperyment.

No i przyjęły się, wszystkie! Z radością przyglądałam się jak rosły. Nie wierzyłam, uprawiam ogórki! Byłam we wsi pierwsza, też na ryneczku nie było jeszcze ogórków. A mój sprzedawca zniknął. Chciałam mu podziękować. Czy pojawi się za rok?

I tak jak z wędkowaniem, od wykopania przynęty do podania ryby na stół. Od początku do końca.

Umyłam słoik, wzięłam kilka ogórków i pojechałam na naukę do zaprzyjaźnionej gospodyni wiejskiej, wieloletniej pani sołtys, znanej z najlepszych zapraw ogórków. „Indywidualne korepetycje, warsztat robienia ogórków kiszonych...” – cieszyłam się jak uczennica.

Usiadłam naprzeciwko Marii i słuchałam, co po kolei wkładać i jak do słoika. Tej receptury nie znajdziecie w internecie, jest skrytanie chroniona. Na początek Maria posłała mnie na pole, aby wykopać chrzan (tak jak z rybami, łopatka w ręku i kopać...). I tak po kolei zbierałam wszystkie dodatki, które wskazywała mi Maria.



Od kilku tygodni zaprawiam ogórki. Wieczorem podlewam, rano zbieram plony, moczę w misce wody i gdy słońce zachodzi wkładam zdobycz do słoików. Zimą jak znalazł, smak natury i pamiątka z Polski.

To będą kiszone, polskie ogórki. A co z małosolnymi? Otóż z ciekawości otworzyłam po kilku dniach moje dzieło i delectowałam się smakiem małosolnego ogórka. Wspominam dzieciństwo, smak sałatek z pomidorów z działki rodziców i ogórków małosolnych. Podobne smakiem pomidory można znaleźć w Holandii, ale ogórek małosolny? Zanim go dowiozę do Utrechtu będzie już kiszony!



Maria Bilka zdradza swoje tajemnice autorce



Fot. ZSCZ



# Czas szparagów, szparagów to czas...



**MAREK GRĄDZKI**

Gdy nadchodzi wiosna, a w tym roku wybuchła gwałtownie walą nas upałem po łbie to również czas szparagów. Nasz region to można powiedzieć wielkopolskie centrum produkcji tego warzywa. Wynika to z wieloletniej tradycji sięgającej czasów pruskiego zaboru kiedy to nowotomyscy rolnicy wozili spargell na berlińskie rynki. Dzisiaj zaś też im sprzyja bliskość granicy i znakomite skomunikowanie ze stolicą Niemiec. Dwie godziny i już się jest na miejscu, a i zbyt zapewniony bo towar świeżutki, wczesnym świtem zbierany. Niemniej jednak i u nas nie brakuje amatorów na te smaki.

Szparagi są pełne wszelakich dobroci i wartości. Cała cenna dla nas tablica

pierwiastków Mendelejewa, do tego witaminy wszelakie a i beczenny błonnik. Zapobiegają powstawaniu nowotworów, odpowiadają za prawidłowy rozwój płodu, wspomagają kobiety karmiące piersią i odchudzają, ponieważ w 100 g zawierają tylko 18 kcal. Ponadto szparagi są jednym z najskuteczniejszych afrodyzjaków. Sprawdź, Szanowny Czytelniku jakie właściwości lecznicze i wartości odżywcze mają szparagi i jak je przyrządzić, by działały na partnera, tak jak lubczyły czy kawior. Toż to proste jak arytmetyczne działanie 2+2. Można je jeść na surowo, zielone zupełnie bez cieplnej obróbki. Trzeba tylko odciąć 3-4 centymetry od dołu bo będą zdrewniałe. Natomiast z białym większy jest ambaras. Trzeba je dokładnie obrobić skrobaczką do warzyw z łyka i dopiero wtedy przystąpić do gotowania. Surowe też zresztą smakują pysznie. Najlepiej zmacerować je w zaprawie słodko kwaśnej. Używa się do tego celu soku z cytryny, dobrego tłoczonego na zimno oleju rzepakowego, trzeba by złamać smak dobrze rozmieszać łyżkę miodu a następnie doprawić wedle własnych upodobań solą, białym pieprzem, fajnie smakuje z kurkumą czy odrobiną

pieprzu cayeńskiego. Szparagi kroi się na dwu trzy centymetrowe kawałki i pozwala się poleżeć w sosiku kilka minut.

Dla wielbicieli warzywa podane go na ciepło od przepisów aż się roji. Ja osobiście lubię najbardziej ugotowane w specjalnym, wąskim garnku, tak by główki dochodziły w parze i następnie polane topionym maselkiem z tartą bułką. Zwolennicy krótkiej obróbki, tak by nie gubić wewnętrznych wartości wrzucają obrane szparagi na patelnię podlaną olejem i duszą je pod przykryciem, od czasu do czasu wstrząsając naczyniem. Uważają, że 15 minut takiej obróbki zupełnie wystarcza. Potem tylko posolić i na przykład posypać startym parmezanem. Sybaryci uważają, że nie ma nic lepszego jak szparagi pod beszamelem. Ale tu już gubi się ich kaloryczną wartość zamieniając 18 kalorii na 100 gram w 1000. Wszak śmietana, żółtko, tłuszczek maślany i już tyjemy zamiast chudnąć. Szanowny Czytelniku uwolnij pokłady swojej kulinarnej fantazji i fruń w niezmierzone jej obszary. Wszak szparag jest niezwykle wdzięczny, ale walczmy o niego bo tak szybko odchodzi. ■



# Medytacja



**ALEK SILBER**

Biegnę. Gdzieś w dole, poniżej kolan, wynurza się stopa, jakby nie moja. Unosi się w górę, na moment zawisa w powietrzu, by po chwili opaść na zielony dywan. Potem druga. Miga białą skarpetką i zygakiem sznurowadła, po czym miękko dotyka trawy. Miarowo, na przemian, niczym ramiona wiatraka, unoszą się, to znów opadają; dotykają ziemi, to znów szybują; lewa, prawa, lewa, prawa. Nad nimi rytmicznie: wdech, wydech, wdech, wydech – jak miech. I czuję bicie serca. Nie słyszę. Czuję. W domyśle.

Jest mi niezwykle lekko. Nie dlatego, że z górki, że trawa jak dywan i błękit nieba. Ale dlatego, że błękit nieba, że trawa jak dywan i że z górki. Oglądam się za siebie. Jeszcze są, jeszcze je widzę: grządka kolorowych bratków, nad nimi białe stokrotki i leniwie przechylone sztachety płotu. Za kwiatami przycupnięty na górze domek, niby bezpieczny, a jednak nagi, bezbronny pośród dzikich łąk, samotny na splocie bezkresnych dróg, wystawiony na słoneczny żar i jesienne słyty. Jedynie otwarte okno otoczone jest pnącym winem, niczym przykrótkim kocem. Przy drodze sterczą dziko rozbujane trawy i badyle uschniętego drzewa. Sięgają nieba, a raczej niskich chmur, z którymi się nigdy nie rozstają. Nie wiadomo dlaczego tutaj jest zawsze słońce, a tam chmury.

Zbiegam coraz niżej. Już widzę skraj łąki i soczystą zielen nasyconą wilgocią strumienia. Wokół rozłożyste drzewa i chłód cienia. Krowy stanęły nieruchomym rzędem, patrząc mi prosto w oczy. W ich spojrzeniu mieszka smutek i dobroć. A może bezmyślność? Nie wiem. Trwają nieme, zastygłe. Patrzą, jak przeskakuję kamienie strumienia, chwytając się gałęzi krzaków. Widzą mnie nachylającego się nad wartkim nurtem, pijącego łąpczywie. Ja widzę pod sobą twarz; faluje tysiącem odbić na tle jasnego nieba. Przyglądam się uważniej, próbując wyczytać jej sens. Przecież wystarczy spojrzeć na twarz nieznajomego i od razu wiadomo, że prawy, szlachetny, zły czy

przebiegły. Można nie wychwycić szczegółów, mylić się częściowo, ale istota jest zwykle czytelna. A teraz patrzę i niczego nie potrafię wyczytać. Przyglądam się uważniej, wzrokiem przebiegam tak dobrze mi znane rysy: oczy, nos, usta. W całości i osobno – nic. Usiłuję spenetrować powłokę, dotrzeć do wnętrza, lecz widzę tylko obmywane delikatnym strumieniem kamienie na dnie i słyszę miarowe bulgotanie. A rozmyta falą twarz wymyka się uparcie.

Za strumieniem ścieżka pnie się ostro pod górę. Zamiast trawy jest sypki piach, przy każdym kroku osuwa się spod nóg. Chwytam się krzaków, stopami wyszukuję obnażone korzenie i rzadkie kępy traw. Byle się wdrapać wyżej, wyżej. Mozolnie wspinam się ponad szum strumienia. Na szczycie piaszczystego wzniesienia zatrzymuję się, by nabrać oddechu. Odwracam głowę: po drugiej stronie doliny znowu dostrzegam dom. Nie zniknął, jeszcze tam jest. Trwa nieruchomo na skrzyżowaniu dróg, niczym gwardzista na posterunku. Przez moment wydaje mi się, że do mnie mruknął, że się uśmiechnął. Nieśmiało macham mu ręką, lecz dłoń zastyga w pół gestu. Odwracam się i zbiegam z piaszczystego wzgórza, rozdartymi krokami zsuwając się w krainę wydm. Jak sięgnąć wzrokiem, nagie pagórki i pustynne trawy: rzadkie, surowe, łykowate. Pośród nich karłowate krzewy broniące się przed wiatrem, piachem i słońcem. Pazurami korzeni wczepiły się w jałowy grunt, desperackim uściskiem spłotyły palce kędzierzawych gałęzi.

Po piachu bieg jest trudniejszy. Nogi grzęzną, osuwają się, piasek wpada do bu-



tów. A wydmy zdają się ciągnąć bez końca. Podmuchy wiatru wzbijają w górę drobne ziarenka, okrywając piaszczystą mgławicą wątłe zarośla. Po czasie i one znikają. Pozostają nagie wzniesienia i doliny, na nich pokarbowany wiatrem piach, bezkresny pustynny piach, wszędzie taki sam. Jedynie słońce oraz falisty szlak śladów moich stóp służą jako niezawodna busola. Przystaję na chwilę. Nasłuchuję – cisza. Kompletny bezgłos, bezruch. Tu nawet czas stoi w miejscu. Nie słyhać ani ptaka, ani muchy. Nawet wiatr uciekł wystraszony. Posuwam się parę kroków, piach niepokojąco skrzypi pod stopami. Nagle dostrzegam na ziemi jakiś przedmiot. Schylam się i podnoszę – jest lekki, wyschnięty i szary. Kiedyś był ptakiem.

Ruszam do biegu. Odnoszę wrażenie, że odgłos kroków, sapanie i bicie mego serca wypełniają swym dźwiękiem całą przestrzeń, jakby biegł jakiś olbrzym, jakby jego stąpieniem dudniła pustynia. Ocieram z oczu krople potu. Biegnę prosto w słońce. Sunąc do przodu jak w transie, opuszczam wzrok, by uniknąć jego promieni. Hipnotyzuje mnie równomierny ruch stóp na skrzącym piachu: lewa, prawa, lewa, prawa. Tracę poczucie czasu.

Gdy unoszę wzrok, dostrzegam w oddali ciemne plamy. To zapewne skutek zmęczenia, fatamorgana. Lecz plamy nie znikają. Przeciwnie, stają się większe i wyraźniejsze, aż rozpoznaję w nich wielkie kamienie. A więc muszę się zbliżyć. Przystaję, by posłuchać – jest, słyszę – jeszcze cichy i bardzo daleki, lecz już wyraźnie słyszalny szum. Na szerokich głazach przyspieszam kroku. Twardy grunt dodaje mi pewności i ułatwia bieg. Pomiędzy kamieniami ponownie pojawiają się trawy. I wiatr. Już wiem, że za tym wzniesieniem... No, może dalej, może za następnym – też nie. Ale musi być już niedaleko. Gdy zbliżam się do wierzchołka, szum się wzmaga, a oczy wypatrują, że to już musi być tu, za tą górką. Lecz nie, za nią ukazuje się kolejna hałda. Teraz szum już nie cichnie, zagłusza nawet odgłos moich kroków. Przede mną strome wzniesienie; kamienie i piach. Trawy są teraz bujniejsze, silne, odważne. Powoli zbliżam się do wierzchołka, rękoma chwytam za ostre kępy. Jeszcze krok, jeszcze jeden wysiłek i staję na szczycie.

W pierwszej chwili nie jestem w stanie ogarnąć całego widoku. Muszę przyzwyczaić wzrok i uszy. Ogromne fale przewalają się, zalewając piaszczysty brzeg syczącą pianą. Szerokie zakole plaży ciągnie się od skalistego cypla aż po horyzont na dru-



gim końcu. Ileż odcieni może mieć kolor niebieski? Bładoseldynowy przy brzegu, potem coraz głębszy błękit i dalej siny, granatowy. Patrzę na fale: suną potężnymi ławami, jedna za drugą, za nią następna i tak bez końca. Jak wczoraj, jak przed rokiem, przed lat tysiącem, setką tysięcy. I piasek ten sam i pokruszone muszle, słońce i niebo. Stojąc nieruchomo, przelętkam ślinę. Dopiero podmuch wiatru budzi mnie z zadumy.

Zbiegam na dół. Pośpiesznie zdejmuję spodnie, buty, skarpety. Rzucam je bezładnie, biegnąc w kierunku wody. W ostatniej chwili ściągam koszulę i już jestem wolny. Zanurzam się w rozszalałych falach. Czuję, jak chłodna woda ogarnia moje nagie ciało. Odpływam od brzegu, nurkując pod spienionymi grzywami fal. Tu, pod powierzchnią, jest ciszej, niemal spokojnie, tylko otwarte oczy widzą wirującą toń, mętną od wzburzonego piasku. Wynurzam się, by nabrać powietrza. W tym momencie porywa mnie ogromna fala i rzuca o dno, usiłując mnie wbić w ziemię niczym pal, głową w dół. Wszędzie mam piasek: w ustach, w nosie, w uszach. Wyphywając nad powierzchnię, śmieję się i krzyczę z całych sił, lecz głos mój ginie bez echa, bez śladu, bez najmniejszego efektu.

Wybiegam na brzeg. Zbieram ubranie, szukając dogodnego miejsca pod wydumą. Musi być równo, a piasek miękki i biały. Układam ubranie w równą kupkę; najpierw buty, do środka wpycham skarpetki, na wierzchu składam koszulę i spodnie. Ręką wyrównuję piasek. Siadam na skrzyżowanych nogach, twarzą w stronę wody, ręce kładę na kolanach. Patrzę na morze, na niebo, na złożone ubranie, na swoje ciało. Duże krople wody połyskują na skórze. W miejscach, gdzie zdążyły już wyschnąć, pojawiają się białe plamki soli. Oddycham głęboko, wodząc wzrokiem wzdłuż plaży. Pochłaniam całą zatokę, fale, słońce. Chwytam wiatr i szum oceanu. Przymykam oczy. Po chwili je otwieram. Jeszcze raz spoglądam na ułożone ubranie, ręką poprawiam buty, noskami do morza. Równo. Ponownie zamykam oczy.

Zwalniam oddech i bicie serca. Ciszej, spokojniej, lżej. Ogrzewają mnie promienie zachodzącego słońca. Poprzez zamknięte powieki widzę jego barwę. Czuję, jak obejmuje mnie łagodny powiew wiatru, okrywa cieniutką woalką, pieści nie dotykając. Słyszę huk fal, głośny, a zarazem kojący. Rozluźniam mięśnie: najpierw twarz, skronie, policzki, usta. Potem kark, ramiona, brzuch, kolejno aż do stóp. Oddychając

czuję niezwykłą lekkość powietrza, jakby nie istniało. Temperatura i barwy również stają się przezroczyste, znikają. Cichnie szum, jakby dochodził gdzieś z daleka, spod ziemi, poprzez grubą watę. Już się uspokoilem, już jestem gotów. Teraz przywołuję mantrę: ku-ran, ku-ran. I dalej powtarzam: ku-ran, ku-ran. Mój oddech staje się ledwie wyczuwalny, serce bije coraz wolniej. Ogarnia mnie łagodne ciepło, lekkość. Stopniowo tracę kontakt z ciałem, nie czuję już kończyn, odłączają się ode mnie wraz z resztą. Już wiatr mnie nie otula, lecz wieje poprzez mnie. Promienie słońca przelatują na wylot; jestem pewien, że na piasku nie pozostawiam cienia. Szum fal ginie gdzieś w przestrzeni, zlewa się z czerwienią pod powiekami, z wiatrem, z ciepłem słońca i wygasłym smakiem soli. Moje percepcja staje się bezwymiarowa, pozbawiona wszelkich właściwości fizycznych, niczym próżnia. Ku-ran, ku-ran – powtarzam nie mówiąc, nie myśląc, lecz i te słowa gasną, ginie mantra. Zatracam wszelkie skojarzenia, tracę świadomość, że jestem. Nie widzę, nie słyszę, nie czuję, nie myślę. Wszystko ucieka; staję się niematerialny, nie istniejący. Nie ma mnie. Tylko gdzieś poza jaźnią, poza świadomością, poza poczuciem, poza mną jest...



Palac Eichenhorst (gniazdo dębów) zbudowany został w 1882 roku dla Franza Heinricha von Beyme. W 1920 roku palac wraz z zabudowaniami, parkiem, ogrodem i majątkami Stielinko, Porażyn i Terespotockie stał się własnością generała Kazimierza Sosnkowskiego.

W okresie powojennym palac stanowił bazę szkolenia zawodowego leśników, ostatnio mieściło się w nim Policealne Studium Leśne.



Przebieżenie palaciu w 27 hektarowym parku stanowi wyjątkowe miejsce do wypoczynku.

Dzieciom i młodzieży proponujemy spacer po leśnej ścieżce dydaktycznej w towarzyszywie leśnika.



Oferujemy 73 miejsca noclegowe w pokojach 1-, 2-, 3-osobowych znajdujących się w: palacu, hotelu i "dziupli".



Przeznaczenie można spędzić czas w kawiarni przy Palacu.



Posiadamy 3 klimatyzowane sale wykładowe (65, 30 i 12 osobowe) wyposażone w środki audiowizualne.

Do dyspozycji Gości: bilard, miejsce na ognisko, grill, plac zabaw dla dzieci oraz parking samochodowy.



Organizujemy:  
-komunie,  
-wesela,  
-szkolenia,  
-konferencje,  
-imprezy integracyjne,  
-imprezy rodzinne.



Organizujemy również na życzenie klienta imprezy tematyczne np.: przejażdżki bryczkami oraz huśtawki zabawne przy ognisku i starym polskim jedzeniu.

OSW prowadzi całoroczną działalność szkoleniową dla pracowników Lasów Państwowych i innych podmiotów gospodarczych.

# Wiadomości Sekcji Polskiej w Levende Talen

(2/2018)



## ELŻBIETA NIEMCZUK-WEISS

### Drodzy Członkowie i Sympatycy Sekcji Polskiej w Levende Talen,

Za nami kolejny rok pracy i wielu działań popularyzujących nasz język i kulturę.

Pragniemy przy tej okazji podziękować wszystkim instytucjom i osobom prywatnym, z którymi mieliśmy przyjemność i zaszczyt współpracować przez ostatnich 10 miesięcy.

Przed nami czas wypoczynku, ale też nabierania sił i rodzenia się nowych pomysłów. Czekają nas bowiem szczególna jesień – świętowanie na wiele sposobów i w różnej skali 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości.

### A teraz garść przedwakacyjnych informacji.

- **Od końca maja przetoczyła się fala maili związanych z nowymi przepisami ochrony danych osobowych RODO.**

My też jesteśmy Państwu winni ustalenia, dające nam wszystkim poczucie bezpieczeństwa w sieci. Państwa dane znalazły się w naszej bazie, ponieważ są/byli Państwo członkami Sekcji, albo poprosili nas podczas organizowanych wydarzeń o informowanie o imprezach związanych z profilem naszej działalności. Dane członków znajdują się w rękach (a właściwie w komputerach) sekretarza Levende Talen, który przekazuje je do przewodniczącego i sekretarza Sekcji. Dane Sympatyków – pozostają w bazie przewodniczącego Sekcji (piszącej te słowa) i sekretarza – Marty van Vliet-Sokołowskiej. Używane są tylko do powiadamiania Państwa o planowanych zebraniach i wydarzeniach.

Jeśli ktoś z Państwa nie życzy sobie dostawać od nas więcej wiadomości, a tym samym chce, by skasować jego dane w naszej bazie, prosimy niech wyrazi to życzenie mailem na adres: pools@levendetalen.nl. Mamy jednak nadzieję, że takich maili nie będzie w naszej skrzynce.

- Sekcja Polska w Katedrze Studiów Rosyjskich i Słowiańskich Uniwersytetu Amsterdamskiego oraz Polsko-Niderlandzkie Stowarzyszenie Kulturalne ogłosiło konkurs „Niepodległa” na tłumaczenie prozy polskiej – fragmentu powieści „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego. Honorowym patronem konkursu jest Ambasador RP w Holandii J.E. Marcin Czepelak. Termin nadsyłania prac upływa 30.09.2018 r. Szczegółowe informacje na stronie: [http://www.pnk.v.nl/boeken-se.../konkurs/ogloszenie\\_konkursu.pdf](http://www.pnk.v.nl/boeken-se.../konkurs/ogloszenie_konkursu.pdf)

Sekcja Polska LT dołączyła do grona fundatorów nagród i weźmie udział w organizacji sympozjum 3 listopada, podczas którego zostaną ogłoszone wyniki konkursu.

Zapraszamy chętnych do pomocy w tym wydarzeniu, a organizację do wsparcia finansowego nagród dla zwycięzców. Kontakt w tych sprawach: e.weiss@quicknet.nl

- **26 września** – Sekcja Polska w Katedrze Studiów Rosyjskich i Słowiańskich Uniwersytetu Amsterdamskiego zaprasza na otwarty wykład dr. Marty Chojnackiej-Kurasz z Uniwersytetu Warszawskiego poświęcony badaniom nad komunikacją medyczną w Polsce.

P.C.Hoofthuis 5.60, godz. 17 – 18.45. Wykład w języku angielskim. Konieczne zgłoszenie się do 24 września: e.d.niemczuk-weiss@uwa.nl. Więcej informacji na początku września.

- **17 października** – kolejna edycja egzaminów na tłumacza przysięgłego organi-

zowanych przez instytut Moderne Talen en Culturen UvA. Więcej: <http://is.uva.nl/nascholing/vertaaltoetsen/vertaaltoetsen.html>

- **2 listopada** – Landelijke Studiedag LT w Utrechtie, 35. edycja: Taal in beeld. Zapisy od 1 września do 12 października. Są zgłoszone dwa wykłady Bożeny Kopczyńskiej. Mocno trzymamy kciuki, żeby je włączono w program dnia. Więcej informacji: <https://levendetalen.nl/vakkennis/landelijke-studiedag-2/>

- **3 listopada** – Katedra Studiów Rosyjskich i Słowiańskich Uniwersytetu Amsterdamskiego (w tym Sekcja Polska) zapraszają na sympozjum: Najaar 1918 – Slavische talen en culturen op de nieuwe kaart van Centraal-Europa

Teatr Uniwersytecki, Nieuwe Doelenstraat 16, 1012 CP Amsterdam. Więcej: <http://slavischetalenenculturen.nl/1918.html>. Zapisy od października.

- Kolejna edycja festiwalu języków DRONGO w tym roku po raz pierwszy na Uniwersytecie Randboud w Nijmegen.

Więcej: <https://www.nt2.nl/en/artikel/187/DRONGO-talenfestival-2018>

Jesień zapowiada się bogato i intensywnie, a zatem – warto dobrze wypocząć!

Udanych wakacji w imieniu Zarządu Sekcji Polskiej Levende Talen życzy przewodnicząca

ELŻBIETA NIEMCZUK-WEISS

## Laureatka konkursu w Nowej Róży



Marta Borgato (druga od prawej) jest laureatką Międzynarodowego konkursu fotograficznego Forum Polskich Szkół w Holandii. Scena Polska w Holandii oraz fundacja „hOlendry” zaufowały nagrodę specjalną i ugościły Martę wraz z rodziną w Nowej Róży w siedzibie fundacji „hOlendry”. Życzymy Marcie dalszych sukcesów!



## Komiks „Opgejaagd” z serii „Vluchtelingen” przykładem udanej współpracy polsko – holenderskiej

### GRAŻYNA GRAMZA

Akcja komiksu dotyczy działalności gangu przemytników, którzy wykorzystują uciekinierów i zarabiają na nich spore pieniądze. Założycielem bandy jest młody Marokańczyk, który udaje przybysza z Syrii. Policja wie, że coś jest nie tak, ale dopiero kiedy kilka dziewcząt zostanie zaatakowanych i zgwałconych, rozpocznie polowanie na bezwzględny gang. Oczywiście w tego typu opowieści nie może zabraknąć pozytywnego bohatera, którym jest młody uchodźca decydujący się dla wspólnego dobra na współpracę z policją. Głównymi bohaterami tej części, i zresztą całej serii o uciekinierach, są policjanci: Herre, Marleen i Abdel, który za sobą ma również doświadczenie ucieczki z własnego kraju. Historia jest

realistyczna, dobrze opowiedziana, a temat niestety aktualny. Ludzkie dramaty, przemoc i próby rozwiązania trudnych sytuacji przedstawia na rysunkach Przemysław Kłosin, a autorem opowieści jest Sytse S. Algera.

Od 1986 Sytse S. Algera pracuje w policji, a jako autor komiksów jest znany przede wszystkim z serii fantasy pt. „Lemuria” i „De Vries”. W tej serii thrillerów bohaterem jest dziennikarz John de Vries, który prowadzi śledztwa, przez które często pakuje się w kłopoty.

Po przeczytaniu „Opgejaagd” na pewno sięgnę po inne komiksy tego autora. I z pewnością będę szukać tych, które ilustruje nasz rodak ze Szczecina.

Komiksy autorstwa Sytse S. Algera i Przemysława Kłosina można kupić na [www.bol.com](http://www.bol.com) lub [www.stripweb.be](http://www.stripweb.be)

ISBN: 9789492865014

<https://www.bol.com/nl/p/vluchtelingen-sc-1-opgejaagd/9200000089665812/?suggestionType=browse&bltgh=nt8xzk9Pn9y-3kV62KO9KTg.1.2.ProductImage>



## Judo i Muffinki

### GRAŻYNA GRAMZA

Wśród książek w antykwariacie znalazłam lekturę dla młodzieży zatytułowaną „Muffin”. Tytuł, chociaż smaczny („Muffinka”), nie zwrócił mojej uwagi ale nazwisko autorki, Anny Jansen-Gronkowskiej jak najbardziej. Zdradzało ono, że jest Polką. Na okładce rzeczywiście była informacja, że Anna Jansen-Gronkowska w 1990 roku przyjechała z Polski do Holandii. Postanowiła tutaj zrealizować swoje marzenie i zostać pisarką. Sama nauczyła się holenderskiego, a swoją przygodę z literaturą zaczęła od recenzowania książek dla dzieci. Na stronie wydawnictwa SPECTRUM zamieszczono jeszcze informację, że urodziła się w Płońsku, a wychowała w Warszawie. Do kraju tulipanów przyjechała za swoją miłością. I właściwie nic więcej już nie znalazłam. A szkoda, bo warto wiedzieć o ludziach, którzy robią coś interesującego i odnoszą sukcesy, a „Muffin” na pewno nim jest.

Książka przeznaczona jest dla dzieci powyżej dziewięciu lat.

Jej bohater, jedenastoletni Mink jest w grupie ósmej i uwielbia babeczki oraz wszystkie słodkie przysmaki. Stąd pochodzi jego przyzwisko, które niekoniecznie mu przeszkadza. Niestety przez swoje łakomstwo jest ciężki i gruby. Jest też bardzo silny, co kiedyś skończyło się nieszczęściem, bo złamał koledze rękę. Mink jest nieporadny i nie bardzo lubi uprawiać sport. W nowym roku szkolnym

staje się obiektem drwin Sandera, nowego ucznia w klasie. Ten go prowokuje i prześladowuje. Wie, że Mink nic nie może zrobić, bo jeśli będzie się bił, to zostanie wyrzucony ze szkoły. Chłopiec próbuje sobie radzić z agresywnym kolegą, ale nie bardzo wie jak. Boi się konfrontacji, a do tego jeszcze ma problemy na zajęciach sportowych. Sytuację ratuje judo. Mink zapisuje się na treningi i okazuje się, że ten sport pozwala mu opanować siłę i odzyskać kontrolę nad sobą.

Książka porusza bardzo trudny temat znęcania się młodzieży. Pokazuje jak postępuje proces izolacji osoby, która jest prześladowana przez innych. Pokazuje też obojętność i bezradność dorosłych i uczniów w szkole. „Muffin” mimo to jest książką lekko napisaną i optymistyczną, bo w końcu bohaterowi udaje się wyjść z opresji dzięki talentowi do judo, który w sobie odkrył. I oby wszyscy, którzy doświadczają takich problemów znaleźli pomoc i wsparcie innych.

A skoro Mink lubi muffinki, to podajemy prosty przepis:

Składniki:

- 2 szklanki mąki
- 2/3 szklanki cukru
- 2 łyżeczki proszku do pieczenia
- 1 łyżeczka cukru z wanilią lub troszkę aromatu
- 1 szklanka mleka
- 1/2 szklanki oleju
- 2 jajka

Do miski wrzucamy suche składniki (mąka, cukier, proszek, cukier waniliowy) a potem dodajemy mokre (olej, mleko i jaja).

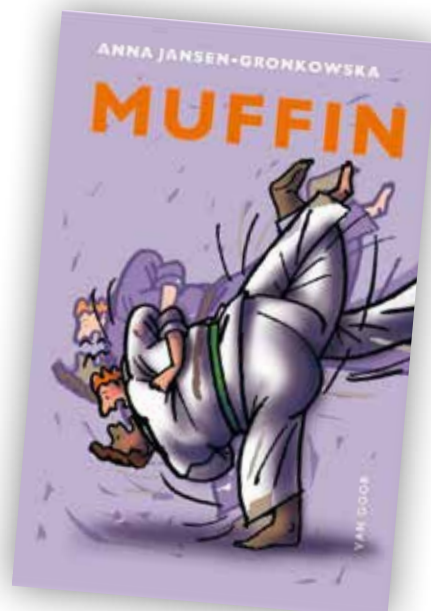
Mieszamy wszystko łyżką.

Formę na muffinki wykładamy papierowymi papilotkami

Do foremek wlewamy ciasto do 2/3 wysokości i wstawiamy do nagrzanego do 180°C piekarnika. Pieczemy około 20- 25 minut do suchego patyczka. Dowolnie dekorujemy.

Książka jest dostępna na [bol.com](http://www.bol.com)

<https://www.bol.com/nl/f/muffin/30086745>





**POLONIJKA**  
POLONIJA SZKOŁA  
PODSTAWOWA



Lekcje on-line z polskimi nauczycielami – nagrywane i udostępniane na indywidualnym koncie dziecka.

Nauka w dowolnym miejscu i czasie.



Program "kolega z ławki" pozwala na kontakt z polskimi rówieśnikami mieszkającymi w różnych zakątkach świata.

System Gratyfikacyjny - nagrody i gwiazdki notyfikujące dziecko do nauki.



Egzamin on-line oraz specjalne narzędzia pozwalające monitorować postępy dziecka.

Jako rodzic możesz liczyć na kontakt telefoniczny lub mailowy oraz wsparcie ze strony nauczycieli.



## Polonijka - namiastka Polski w Twoim domu. Ostatnie dni na zapis do polskiej szkoły!

Polonijka - Polonijna Szkoła Podstawowa to szkoła online dla dzieci w wieku 5-15 lat. Dzięki Polonijce uczniowie mają możliwość **poszerzenia swojego słownictwa**, poznania zasad **gramatyki, ortografii**, a także zdobywania wiedzy historycznej, geograficznej oraz dotyczącej **polskiej kultury i tradycji**.

Polonijka jest szkołą online, dzięki temu dziecko ma możliwość uczenia się w **każdym, dogodnym dla niego miejscu oraz czasie**. Nauka odbywa się za pomocą **Internetowej Platformy Edukacyjnej**, na której znajdują się wszelkie niezbędne **materiały, prezentacje oraz scenariusze lekcyjne**, a także **różne gry i zabawy**.

Uczniowie mają możliwość udziału w cotygodniowych webinarach, czyli **spotkań odbywających się online z polskimi nauczycielami**, co stanowi świetną formę na utrwalenie przyswojonej wiedzy i powtórkę materiału.

Trwają zapisy na rok szkolny 2018/2019. **Zapisz się już dziś! Liczba miejsc ograniczona!**

[www.polonijka.edu.pl](http://www.polonijka.edu.pl)



Jej Królewska Wysokość

Księżniczka Wilhelmina Frederika Luisa Charlotta  
**MARIANNE von Nassau-Oranje**  
 Księżniczka Niderlandów  
 (1810 – 1883)

## SZTUKA I MUZYKA

- Na uroczystość ślubną królowej Marianny z pruskim królewiczem Albrechtem von Hohenzollernem w Hadze (14 września 1830 r.) powstała kantata na chrór i głosy solo, skomponowana przez II kapelmistrza orkiestry dworu berlińskiego i jej dyrygenta G.A. Schneidera do słów L. Libera.
- na pokładzie angielskiego statku, wraz z 140 pasażerami i muzykującą orkiestrą na pokładzie, księżniczka Marianna dotarła do Aleksandrii (1849)
- kiedy zostaje właścicielką klucza dóbr na Śląsku (1838), zleca K.F. Schinklowi wykonanie projektu zamku w Kamieńcu (il. 1); w tej najważniejszej dla niej rezydencji gromadzi potężną kolekcję dzieł sztuki (obrazy i meble) którą zdobył galeria m.in. Ernsta
- w 1845 r. wrocławską wytwórnię Traugott Berndt podporządkowała Mariannie fortepian (oczekiwały z powodu wojennej, dzięki staraniom W. Sobolewa z Puczykiewa, obecnie stoi w jednej z odrestaurowanych komnat zamku w Kamieńcu)
- współcześni opisują królową jako wytworną osobę, mówiącą mezzosopranem, z ogniem w oczach, słowach i ruchach.



## Pianino „Traugott Berndt – Breslau” ok. 1850

Hof-Instrumentenmacher Sr. Majestät des Königs  
 Ihrer Kgl. Hoheit d. Prinzess Marianne d. Niederlande



wymiary: szer. 144, wys. 142, gł. 69, gł. skrzyni 31; zakres: A<sub>1</sub>-a<sup>7</sup> – 7 oktav;  
 naciąg 1-2-3 struny; konstrukcja prostostronna, z metalową listwą zaczepową strun i 2 metalowymi wspornikami; mechanizm górnostawkowy, 2 pedały, dwie corde – podnośnik tłumików

Instrument posiada unikatowy i całkowicie odrębny charakter wśród spotykanych powszechnie pianin klasycznych, produkowanych na przełomie XIX/XX w. O jego walorach świadczą następujące cechy:

- Bogate i niepowtarzalne zdobienia**, spotykane tylko w egzemplarzach wykonywanych na specjalne okazje: wystawy, jubileuszy, indywidualne zamówienia
  - w centralnej płyciźnie (cz. górna skrzyni) osadzony portret św. Cecylii (7), obraz olejny na blasze, (dzieło powstało na zamówienie twórcy pianina)
  - dwie boczne płyciźnie wypełnione tkaniną i szarąwymi ornamentem z palisandru
  - podpory stela klawiaturowego oszłata wygięte, zdobione ornamentem roślinnym

**2. Wytwórnia „Traugott Berndt, Breslau” (1837 – 1948)** okres największej prosperacji przetrwała w pierwszym okresie działalności, kiedy uchronorowano ją tytułem „Hof-Instrumentenmacher” Jej Królewskiej Wysokości Księżniczki Marianny Niderlandzkiej (1845) i Króla Prus (1847), w tym czasie fortepiany i pianina tej firmy były jednymi z najlepszych w Europie środkowej

- Stan zachowania obiektu**
  - instrument kompletny, zasadniczo bez uszkodzeń i śladów inwentary, znakome ubytki okleiny, kompletna klawiatura (z kołki i hebanu) zachowana w lepszym stanie od niejednego instrumentu z przełomu XIX/XX w.
  - mechanizm, którego niski stopień zużycia dopuszcza jedynie zabiegi korekcyjne, bez kompleksowej wymiany części czy podspółce, pozwolił nadal na użytkowanie pianina jako instrumentu
    - oryginalnie zachowane struny i kołki strojeniowe (wyjętek w obiektach z tego okresu)

**4. Odrzyknięta kondycja użytkowa** (przy zrozumiałych ograniczeniach brzmieniowych) umożliwiła nawet wirtuosowskie pogęsy
 

- głównym instrumentem była warstwa czarnej poliry, nałożona w pocz. latach XX w.
  - zmaźna, wielomiesięczne zabiegi konserwatorskie pozwoliły na całkowite przywrócenie stanu pierwotnego i wydobyć pełnego blasku palisandrowej okleiny konstrukcji pianina
  - b/. po dogłębnej korekcie, pianino jest jednym z nielicznych i najlepiej zachowanych instrumentów klawiszowych w Europie, powstałych w poł. XIX w.

Znaczenie każdej z tych cech wzrasta poprzez fakt ich **jednocześnie występowania** w jednym instrumencie, co tym samym **podnosi wartość historyczną, muzealną i muzyczną obiektu.**

**Pianino stanowi unikatowy przykład zachowania oryginalnego i sprawnego mechanizmu oraz konstrukcji pianina o walorach muzycznych sprzed 150 lat, co w dziejach muzealnictwa muzycznego jest swoistym ewenementem, a tytuł „nadzwyczajnego wytwórcy”, widniejący nad klawiaturą, nadoje temu instrumentowi „łście królewski majestat”.**

(Benja Swarńskich, Instytut Konserwacji MKP)  
 Autorytet: pianino – zakupił Fundacja – Biblioteka Prawońska Konserwacji Instrumentów Muzycznych Muzeum Narodowego w Poznaniu, pod kier. konserwatora Piotra Celalskiego

Instrument ten jest DAREM w postaci Wieczystego Depozytu **FUNDACJI Andrzeja i Krystyny GAWROŃSKICH** z Poznania

# Hof-Instrumentenmacher Sr. Majestät des Königs, Traugott Berndt BRESLAU, Ihrer Kgl. Hoheit d. Prinzess Marianne d. Niederlande.



## BOGACTWO DUCHA, SERCA I UMYSŁU

Z działalności i zainteresowań królowej Marianny przebija wyraznie wszechstronność jej zainteresowań i aktywności życiowej. Wykazała ona bowiem wielki, wręcz wyrafowany smak artystyczny i potrzebę obcowania z pięknem, tak wyrazonymi dziełami sztuki (Villa Celimontano, Kamieniec, Reinhartsmuseum), jak i stworzonym przez naturę. Równocześnie odznaczona była dużym zmysłem organizacyjnym, co pozwoliło zarządzić rozległym majątkami ziemskimi (Wilhelm V. książka Marianny, nabył w XVIII w. dobra ziemskie w Wielkopolsce: Rasek i Sępszew – w herbie Sępszewo do dziś widnieje Lew Drzałoki) oraz gospodarzom (budowa dróg, zajazdów, szkolni), co świadczyło się w pozyskiwaniu wysokich dochodów. Nie brakowało jej przy tym wszystkim dobrego serca i poczucia sprawiedliwości, które wywarło niezwykłe odzianie, bożnie i ofiarne (Współprzeznoszenie, szpitala, przytulnie, szkoły, kościoły).

Marianne Orańska należała do pierwszego szeregu najwybitniejszych kobiet XVIII. XX w. obok pruskich pisarki Anny Luizy Korsch, pochodzącej ze śląskiej chłopskiej rodziny, berlińskiej intelektualistki Bettiny von Arnim, francuskiej pisarki George Sand, austriackiej księżniczki Sissi czy brytyjskiej Lady Di. Wyzwała od bawiarzy zasądzić: „Nie przyzłam [na świat], by żyć dzięki ludziom, ale by ludzie żyli dzięki mnie”.

**MARIANNE**  
 von Nassau-Oranje, Prinzessin d. Niederlande

pozostawiła po sobie wiele wspaniałych pomników architektury (Kamieniec, Bila Voda, Reinhartsbaußen), a przede wszystkim dobrą pamięć u tych, z którymi się zetknęła. Godzi się więc, by zajęła ona godne miejsce w świadomości współczesnych Europejczyków.



FUNDACJA GAWROŃSKICH

Dzieło powstaje w grudniu 2002 r. w ostatniej chwili przed rozpoczęciem nowego sezonu koncertowego. Fundacja realizująca cele poprzez popieranie działalności kulturalnej, artystycznej i historycznej, ze szczególnym uwzględnieniem Poznania i Wielkopolski.

Oto najważniejsze dokonania Fundacji w roku jubileuszowym 750-lecia Króla Władysława I:

- wydanie „Święta serca ludzkości. Wspomnienia o gen. Zygmuncie Zabłotnym” (W-VII.2002, Olsztyn – Muzeum Włókna Kniecińskiego w Poznaniu, razem z Fundacją Młodość Poznań; Kuratorzy: A. Gawrońska i B. Sikorska)
- wydanie książki opiewającej dzieło prof. J. Zabłotnego na progu jubileuszu: „Władysław I” (Olsztyn, Warszawa 2002, nakład: A. Gawrońska i B. Sikorska)
- współpraca w wydawnictwie „Zurak wczoraj i dzisiaj” (Poznań – Poznań 2002)
- wzrost odnotowania Patrona Szkoły Marianny von Nassau-Oranje (ok. 1850) z okazji zjazdu w Depozytu Muzeum Instrumentów Muzycznych w Poznaniu (2002-2003)
- uczestniczenie w wystawie: Władysław I Wielki na inicjatywę elementu persony w zbiorach Muzeum Narodowego (16.11.2003) z udziałem m.in. Ambasadorów Królewskich Niderlandów
- dziesięć lat angażowania na lata 2004-2006:
  - koncertożycie i koncertowa działalność w ramach Muzeum Narodowego
  - udział w międzynarodowych konkursach muzycznych
  - udział w konkursach: Europejski Konkurs Młodych Talentów
  - udział w konkursach: Europejski Konkurs Młodych Talentów



MUZEUM INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH

W Muzeum Narodowym w Poznaniu, jest jedyną tego typu placówką w Polsce. Realizacja dzięki staraniom Instytutu Konserwacji Instrumentów Muzycznych (InKIM) stała się dzięki pomocy rzeczniczki kulturalnej i konserwatorskiej działającej przy Instytucie, która uzyskała dzięki staraniom Instytutu Konserwacji Instrumentów Muzycznych (InKIM) w Warszawie, dzięki staraniom Instytutu Konserwacji Instrumentów Muzycznych (InKIM) w Warszawie, dzięki staraniom Instytutu Konserwacji Instrumentów Muzycznych (InKIM) w Warszawie.

Na początku maja (od 1945 r.) muzeum posiadało w tym czasie zbiorów o wartości 2,5 tysiąca złotych i innych artefaktów i wspaniałych koncertów.

W 1910 ok. wieku to okres szczególnej działalności (Kulturysta, polska sztuka, sztuka ludowa), koncertowa (muzycy i artyści), koncertowa (muzycy i artyści), koncertowa (muzycy i artyści), koncertowa (muzycy i artyści).

Dozgodni starania były, m.in. dwa nagrody ministerialne: I za ustawa (1952), II za ustawa (1952) – jako pierwszy pozostała instytucja kulturalna – otrzymała Czystym „Wieloletnia Indyka” (2001).

Skrajnie ważnym w zbiorach muzeum jest, m.in. zbiorów (Kulturysta, polska sztuka, sztuka ludowa), koncertowa (muzycy i artyści), koncertowa (muzycy i artyści), koncertowa (muzycy i artyści), koncertowa (muzycy i artyści).




Muzeum Instrumentów Muzycznych  
 41-772 Poznań, St. Rynek 52/47  
 tel./fax. 61 85 58 177  
 e-mail: muzos@img.poz.pl



**Festiwal  
Polskich  
Filmów  
Fabularnych  
GDYNIA  
17-22/09/2018**



**43.**   
FPFF

[www.festiwalgdynia.pl](http://www.festiwalgdynia.pl)  
@FPFFGDYNIA #43FPFF